

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**KAJETAN WĘGIERSKI**

**WIERSZE WYBRANE**

## **WIERSZE RÓŻNE**

## HILAS I CELERYNA

### Sielanka

Siostry meońskie, mądre panny Helikonu,  
Wdzięcznymno, proszę, użycie mi tonu!  
Abym mógł, kiedy wena przyjdzie w myśl obfita,  
Naśladować prostego w słowach Teokryta  
I na wzór Idyll jego zabawki wieśniacze,  
I mym rymem opisać rozmowy prostacze.  
Tam albowiem ma gniazdo wesołość niewinna,  
Tam najmiłsza zabawka, lubo jest dziecinna,  
Tam żadnym nie stroskana myśl wolna staraniem  
Bogu ufa samemu i polega na Niem.  
Nie zna dworskich chytrłości ani dołków kopie  
Pod drugim w niewinności wzrastające chłopię  
A mając obyczajów dawniejszych zabytki,  
Pędząc życie w mierności, nie wie, co są zbytki.?  
Tak byli wychowam Hilas z Celeryną,  
Piękny pasterz i z nie mniej nadobną dziewczyną.  
Dowcip był w obu wielki z chęcią do roboty  
I wszelkie w nich chwalebne zakwitały cnoty,  
A że rodzice onych dobrze z sobą żyli,  
Z teje samej przyczyny dzieci się lubili.  
Pilnował zawsze Hilas, by przy Celerynie  
W jednejże trzodę swoją mógł pasać dolinie;  
Szukał zawsze sposobów, by mógł z nią rozmawiać;

Gdyż mu najmilej było z ona się zabawiać.  
Czy piękną konwaliją ujrzał w czystym lesie,  
Czyli różę szkarłatną, to jej za dar niesie;  
Czy ułapił wiewiórkę młodą gdzie na dębie,  
Czy mu się śnieżne w gnieździe wylęgły gołębie,  
Czyli najtłustsze jagnię, czyli srokaciny  
Upiętrzoną sarneczkę, to dla Celeryny  
Chował wszystko: jak jeno z nią się znidzie prędko,  
Tą łagodną przyciągnąć chce do siebie wędką.  
Ale ona ostrożna, rozmów z nim unika  
I co najdalej zawsze stroni i umyka.  
Martwiło to pasterza, że szły w niwecz dary,  
Że zimno przyjmowano te jego ofiary;  
Szukał pory, ażeby mógł jej wytłumaczyć  
Myśli swoje, zarazem i afekt oznaczyć.  
Raz, gdy na zieloniuchnej i wesołej trawce  
Z kwiatków wieniec wiązała sobie ku zabawce,  
Ażeby otoczywszy nim wianeczek wkoło  
Jasnozłote tym mogła swe ozdobić czoło,  
Przypadł Hilas z doliny i kiedy już ona  
W ucieczkę się udawać zaczęła strwożona,  
Zatrzymał ją i rzecze; „Stój, pasterko miła,  
Nie wiem, czemu byś dotąd ode mnie stroniła?  
Usiądź, proszę, a ja ci, gdy dowcip wspomóżę,  
Umysł mój i przychylność króciuchno wyłożę.”  
Spuściła na te słowa ku ziemi źrenice  
I wstydem rumianiuchnym okraśliła lice.  
„Puść mię – rzecze – mój drogi Hilasie, puść, proszę:  
Niechaj żadnej na sercu miłości nie noszę;  
Puść, jeżeliś przyjaciel, bo kiedy się zbracę  
Miłością z tobą, dni me wesołe utracę.  
Czy ci nie dosyć tego, żem ci się z przyjaźnią  
Oświadczyła? – i tomem czyniła z bojaźnią.”

„O piękna nimfo! – zatem rzekł Hylas – jak żywy  
Jestem, nie byłem jeszcze nigdy tak szczęśliwy.  
Niech wszystkie przeciwności razem mię otoczą,  
Zawsze mię wesołego odtąd ludzie zoczą.”  
Taką bawił rozmową Hylas Celerynę,  
A słońce, opuszczając tutejszą dziedzinę,  
W podziemne uchodziło kraje, a szarawy  
Wieczór niósł mokrą rosę na zielone trawy.  
Więc oni, porzuciwszy te rozmowy spoinę,  
Gnali w dom ciche owce i capy swawolne,  
A sami, do koszarów zagnawszy swe trzody,  
W miękkim spaniu z gorąca szukali ochłody.

DO JMCI KSIĘDZA  
ADAMA NARUSZEWICZA S. J.  
O MAŁYM LUDZI UCZONYCH POWAŻANIU

Oda

Ty, co Pegazem jeździsz, koniem bystrolotnym,  
Coc płynie wena w wierszu sercem tak ochotnym,  
Iż to każdy przyznaje i każdy powiada,  
Żeć Muzy forytują, Febus lejcem włada.

Ty, czy w twe ręce weźmiesz bardon złotogwary,  
Czy wdzięcznym tonem głośnie dąć zaczniesz fujary,  
Pienie twe niezrównane, na wzór Orfeusza,  
Serca skamiałe ludzi najtwardszych porusza.

Jeśli wojny chcesz stawić rozjadłość zażartą  
I na mord ludzki z prasy piekielnej wywartą  
Złość niehamowną, widać jak gdyby na jawie,  
Jak na się draby sieką, jak się tłuką krwawie.

Kiedy władogromego opiewasz Jowisza,  
Który w swych rządach nie chce cierpieć towarzysza,  
Zda się, że niebo, kuty z nieułamnej stali,  
Z strasznym grzmotem na siebie żartki piorun wali.

Lecz kiedy zapalczywość złożywszy na stronę,  
Słodkobrzmiącej twej lutni dasz głosy pieszczone,

Serce jako воск taje, a dusza dotkliwa  
Podług twej woli na płacz lub śmiech się zdobywa.

Powiedz, co się to dzieje, że wiek tak uczony,  
Tylu dzieły sławnymi, tylu ksiąg wsławiony,  
Wiek, co sobie zasłużył na mądrego imię,  
W małej przecie rozumnych ludzi ma estymie?

I tak jest ciężko na to, i tak mocno chory,  
Ze go ni twe Satyry, ani „Monitory”  
Przez ośm lat z tego błędu, z tej głupiej ślepoty  
Wywieść nie mogły, kiedy trwa w niej aż dopóty?

Mnie się zda, że gdyby kto i Zoila wzorem  
Z obosiecznym nań za to targał się ozorem,  
I wściekłym za szaleństwo takie ciskał jadem,  
Z większą byłoby klęską i z większym upadem.

Tak rodzaj ludzki zły jest i tak jest zepsuty,  
Że go już nie ukrócają najmądrsze statuty:  
Wy gadacie, on swoje czyni, i nagany  
Wszelkie są to groch próżno na ścianę rzucany.

Darmo, niechaj się, kto chce, na dowody sili,  
Pewna to prawda, która nigdy nie omyli,  
Że przy kim są pieniądze, przy tym też zostawa  
I honor, i zaszczyty, i urząd, i sława.

Dlaczego ludnie, netą pobudzeni marną,  
Do nauk się z niesytą chęcią wszyscy garną?  
Rojąc w mózgowni szczęścia nadzieję omylną,  
Chcą być doskonałymi przez pracę usilną.



Więc mądrego Platona jedni tknięci duchem  
Zmarłą ojczyznę dzielnym pragną wskrzesić ruchem;  
Drudzy, snując na oko jej świetne zaszczyty,  
Wartują sławne dzieje Rzeczypospolitej.

Inni rachunkiem biegłym niebieskie obroty,  
Jasne gwiazdy i okrąg mierzą Słońca złoty;  
Ci uczą, jak powinien czynić pan troskliwy,  
By hojny plon zasiane wróciły mu niwy.

Ci z wspinałym Pindarem spore kroki stawiają,  
Inni słodką wymową imię swoje sławiają,  
A każdy z nich, czy w starym wieku, czyli młody,  
Pragnie szczęścia dla siebie lub jakiej nagrody.

Choć cnota sama z siebie, podług mądrych zdania,  
Powinna wzbudzać ludzi do jej poważania,  
Jednak mało się znajdzie tak wysokich myśli,  
Co by z tego powodu kochali ją ściślej.

Wielu chce, by w Ojczyźnie wzrost brały nauki  
I żeby w niej kwitnęły wyzwolone sztuki,  
Lecz żaden, widzę, na to nie daje baczenia,  
Co najzdolniej pomaga do ich rozkrzewienia.

Ty, co wzbiwszy się w górę lotnymi skrzydłami,  
Aż pod modrymi bystro bujasz obłokami,  
Rzuć też przyjaznym okiem na mój rym ubogi,  
A już go nienawiści zęb nie ruszy srogi!

Tobiem winien, przezacny mężu, mówię szczerze,  
Ze me barki już miękkie kryć poczyna pierze,  
Które żeby w powiewne mogły porósć skrzydła,  
Żądza we mnie gorąca i chęć nieostydła.

## OBYWATEL PRAWY

Czas nieszczęścia i hańby przez podłość i zdrady  
Pomnożonych wyrodków prawie zgładził ślady  
Cnych miłośników twoich, Polsko! – w schyłku sławy  
Zbyt zapomniałaś, co jest obywatel prawy.  
Chcę ci jego przed oczy wystawić rzetelny  
Obraz, a do wzbudzenia naśladowców dzielny.  
Nie jest on myśli tworem: z swych rysunków znany  
Niedogasłej nadziei wzmoże płomyk chwiany.  
Gmin ten od sławy przodków i cnoty odrodnych,  
Tak chciwych rządzić sterem jak rządzić niegodnych,  
Usłuży czarnym cieniem brzydkich wizerunków  
Do wybitnego pięknych wydania rysunków.

Ten z przychodnią przemocą własną złączył zdradę,  
A darmo chytrą mową chcąc ukryć szkaradę,  
Na czas, na okoliczność, na losy niedoli  
Zwała skutek swej zbrodni, swej przedajnej woli,  
Gasi żądze obrony i ostatki męstwa,  
Radzi ustąpić mocy podłego zwycięstwa;  
Aby wcale zagubić matkę próżno zwaną,  
Sam tnie, rani, kaleczy od obcych szarpaną.

Ów, z rozbitej ojczyzny kiedy wszystko traci,  
Z smutnych łupów wśród burzy w mgnieniu się bogaci:  
Mienia obywatelów potrzebą ściśnionych  
Idą zwiększać dostatków ze skarbu zwróconych.

Kiedy Polska znizona i wstydem okryta,  
On, pychą wzdęty, cienie czci i nazwisk chwyta.

Inni, bez światła, próżni wiadomości rzeczy,  
Niegodnie się podjęli publicznych spraw pieczy;  
Albo chytrą gorszych w błąd ślepo popchnięci,  
Lub słabych serc trucizną, bojaźnią przejęci,  
Idą podle się zginać z swoimi hersztami,  
Poświęcając ojczyznę, przed gwałtu bożkami;  
Równej zbrodni swym głupstwem i lękaniem winni,  
Gdzie z rozumem, gdzie z męstwem wnijsć byli powinni.

Wśród tych okropnych poczwar, co szpecą ród ludzi,  
Wspaniały obraz nowe serc wzruszenie wzbudzi.  
Prawdziwy obywatel, radzca nieskażony,  
Serce mężne, a umysł niesie objaśniony.  
Zna i lubi powinność, zna sprawy ojczyzny,  
W środki dzielne i w radne wynalazki żyzny.  
Odkrywa zdradę, hańbi podłość, dźwiga cnotę;  
Gdy upór – przekonywa; naucza prostotę.  
Sprawiedliwość, odwagę tchnie słowy, przykładem;  
Nie strwożon, Rzymian idzie i Spartanów śladem.  
Czuje krzywdę i zbrodnię, hańbę niżej kładzie  
Niż śmierć i niż niewolę – i w skutku, i w radzie.  
Czy po odważnym mową zdania wyrażeniu  
W czynach się z mową zgodnych zamknie i w milczeniu,  
Czyli znów, duchem wyższym ruszony potężnie,  
Przed obliczem narodu odezwie się mężnie –  
Zawsze znać, że ni zysku chęć go wzniosła podła,  
Ni osobista żądłem nienawiść ubodła.  
Mocą prawdy i czucia tchnie, chwieje, porusza;  
Przez usta się udziela drugim jego dusza.

Grom wspaniałej wymowy wali podłość zdrady,  
Łamie stawione trwogą sromotne zawady;  
Kruszy dumę nadętą; mężnych, dobrych chwali;  
Gnuśne serca rdzą tknięte nowym męstwem stali;  
Groźby, gwałty i skargi bezwstydne wyzywa;  
Gryzie się pod nogami Śmierć słaba i mściwa –  
Przymuszona szanować cnotę nielubioną,  
Choćby wzięła i życie, zna się zwyciężoną.  
On niby szkopuł, kiedy wałą go bałwany  
Rozjuszzonego morza, stoi niezachwiany,  
A Neptun, darmo szturmów zażywszy i trwogi,  
Składa srogość, niżony, i liże mu nogi.

POŚLANIE DO J. W. ORACZEWSKIEGO  
POŚŁA KRAKOWSKIEGO NA SEJM

Cnotliwy Oraczewski, przyjmij ten rysunek:  
Wyda ci twe sumienie jego wizerunek!  
Używaj tej pociechy, którą sami znają,  
Którzy z prawdą i cnotą ojczyznę kochają,  
A potomnym wzór skazać będzie dziełem sławy,  
Na którym się ma kształcić obywatel prawy.  
[1774]

## KOZŁOWIE

### Bajka

Obląkawszy się od trzody  
Dwoje kozłatek bez brody  
I drobne mających rożki  
Koło krętej gdzieś tam dróżki  
Młodą trawkę i mech blady  
Gryzły bez żadnej zawady,  
A gdy słońce z uprzykrzeniem  
Dogrzewało, ci pod cieniem  
Krzaku, unikając nuży,  
Pili wodę wraz z kałuży.  
Choć nie mieli w tym kąciku  
Wybornego pastewniku  
Ani trawy zbyt rześistej,  
Ani wody przezroczystej,  
To im smakowało przecie,  
Ze ich żaden człowiek w świecie  
Z tej mało ważącej paszy  
Ni wypędzi, ni wystraszy.  
A co jest najbarziej miło,  
Że wolno każdemu było  
W tej tak niepodległej doli  
Jeść, pić, spać, podług swej woli.

Skończywszy w polu roboty

Chłop, chcąc sobie grodzić płoty,  
Po chrust jachał raz w te krzaki,  
Gdzie się kozły nieboraki  
Pasły; gałązki nagina  
I ostrą stalą ucina,  
A kiedy już spore brzemię  
Chrośniaków złożył na ziemię,  
Usiadł sobie dąć fujare;  
Wtem ujrzał kozłatek parę.  
A było to owych czasów,  
Kiedy i mieszkańcy lasów,  
Jak my, ludzie, teraz cale,  
Mieli dar mówienia w dziale.  
Chłop się więc do nich przymyka  
I z taką mową potyka:  
„Co w tym chwaście i w tym błocie,  
Na słońcu albo na słocie,  
Robić macie, mchy niełube  
Gryząc i badyle grube?  
Pójdźcie za mną, ja na strawę  
Wydzielę wam bujną trawę;  
W pogodę lub chwilę dżdżystą  
Będziecie mieć wodę czystą;  
Burza wam źródła nie zmaci  
Ni się obcy kozieł wtrąci.”

Poruszony tymi słowy  
Młodszy kozieł, chcąc na nowy  
Zmienić dawny sposób życia,  
W nadziei lepszego bycia  
Tuszając, że go szczęście czeka,  
Usłuchał zradnego człeka,  
I lubo mu starszy gadał,

Że mając wolność posiadał  
Wszystko dobro, nie dał wiary  
Temu, co mu mówił stary,  
Lecz za chłopem szedł w te strony,  
Gdzie go czekał ogrodzony  
Kawał pola, a tam za to  
Łakę zastał dość bogatą,  
Pod dostatkiem czystej wody  
Dla napoju i ochłody.  
Tam, nużą drogi strudzony,  
Chciał spocząć uspokojony.

Widząc dzieci gospodarza,  
Że im się zabawka zdarza,  
Tłukli mu kamieńmi boki,  
By im przez kij robił skoki.  
Cierpiał to kozieł ubogi,  
Lecz gdy wzięwszy go za rogi  
Chciały na nim jak na koniu  
Korwety stroić po błoniu,  
Rozrzucał jeźdźce niezdolne;  
A wnet chłopięta swowolne  
Na kozła się skarżą z płaczem  
Ojcu, a ten mu korbaczem  
Boki srodze osmarował.

Wtenczas dopiero żałował  
Koziołek, łzy tocząc hojne,  
Że miejsce rzucił spokojne,  
Gdzie niepodległy nikomu  
Używał z wolnością, co mu  
Los opatrzny mieć pozwolił:  
Tam go żaden nie niewolił;

Nie służył żadnemu panu.  
Rad by do dawnego stanu  
Znowu wrócił, lecz nie można:  
Zewsząd straż czuje ostrożna.

\*

Tak ten, co spokojne bycie  
I wolne, ubogie życie  
W niepewne szczęście zamienia,  
Rad by do dawnego mienia  
Wrócił, niewolą zgnębiony.  
Cóż? – kiedy powrót zamknięty!



## SKARGA KANONIKA NA KOWAŁA

Kowal na kanonika haniebnie zawzięty,  
Nie uważając na stan, na charakter święty,  
Niewinnie stojącego za swej kuźni drzwiami  
Z tyłu rozpalonymi uszczypnął kleszczami.  
Gorsząca całą wioskę straszna zbrodnia ona  
Tak od Giełdy Osieckiej była osądzona;  
„Kowal zgrzeszył, lecz kowal potrzebny nam jeszcze;  
Kleszcze księdza zraniły, więc powiesić kleszcze!”

## PRZYPADEK W PIWNICY

Nie bardzo dawno przypadek się zdarzył,  
Ksiądz Rafał kwestarz o nim mi dziś gwarzył.  
Czy to jest prawda, czyli rzecz zmyślona,  
Ja powiem, jak mi była doniesiona.  
Na Rusi, niedaleko miasteczka Głogówka,  
Żyje majątna i nieszpeta wdówka,  
A że ludzka w swoim domu,  
Więc nie zbrojny wjazd nikomu:  
Senatory, dygnitarze,  
I sąsiedzi, i kwestarze,  
Starzy, młodzi i fircyki,  
Proboszczowie, kanoniki,  
Owo zgoła wszyscy święci  
Zawsze grzecznie są przyjęci.  
Latem raz było, kiedy wszyscy słudzy,  
Jedni w jagody, w grzyby poszli drudzy,  
A pani sama, że było gorąco,  
Została z paziem i z panną służącą.  
Wtem, jak zwyczajnie zawsze tam bywało,  
Gości wiele najechało.  
    Nie było komu, tak się zdarzyło,  
    Że pannie trzeba po wino iść było.  
        Panna, lękliwa,  
        Pazia z sobą wzywa.  
Idą więc w dwojgu, lecz czy licha zjedli?  
    Oboje gdzieś siedli.

Mija godzina,  
A nie masz wina.

Pani zła, że czeka,  
Posłać zaś po nich nie masz w domu człeka.  
Szczęściem w pokoju chłopczyk był lat pięciu:  
Kaze więc imość temu iść dziecięciu.  
Bieży chłopczyna, zagląda w piwnicę:  
Nie wiem, jaką tam ujrzał tajemnicę...  
Cofnie się tylko pędem do jejmości;  
Tak przelękniony krzyknie wpośród gości:  
„Ach! moście dobrodzieje!  
Źle się u nas dzieje:  
Panna leży bez duszy; już, już dogorywa,  
A paż kiedy niekiedy dupką jeszcze kiwa...”

NICE

Tam pod zielonym lasem,  
Poniżej małą dolinę,  
Gdym do dom wracał, nawiasem,  
Zoczyłem śliczną dziewczynę.

Paśla bieluchne owieczki,  
A siedząc w cieniu bukowym,  
Wiła różane wianeczki  
Z rutą i liściem mirtowym.

Ledwie ją zoczył z daleka,  
Serce mi gorąć zaczyna,  
Ogień mi zewsząd dopieka,  
Biegnę, gdzie owa dziewczyna.

Przyskoczę do niej, przywitam,  
Mile przyjmuje, co czynię,  
Skąd i co robi, się pytam,  
Siadam przy grzecznej dziewczynie.

Z oczu, z uśmiechu, z wejrzenia,  
Poznałem, że mną nie gardzi;  
Przyjęła mile ściśnienia;  
Pocałowałem tym bardziej.

Ślicznych ust wdzięczne jagody

Niebronne ustom mym były,  
Nie dla każdego te gody  
Podobno by się zgodziły.

I mlecze piersi, choć z strachem,  
Po trosze przecie ściszałem,  
Ale tym samym zamachem,  
Że więcej wolno, doznałem.

Ściągnąłem rękę łagodnie  
Tam, kędy w ustawnym cieniu  
Jest, co memu niezawodnie  
Uczyni zadosyć chceniu.

A gdy, dla miłej ochłody,  
Położyła się na trawie,  
Pozwoliła mi swobody  
Z sobą używać łaskawie...

Skórom skosztował do woli,  
Co Nice miała słodyczy,  
Opuściłem ją powoli,  
Wziąwszy wianeczek w zdobyczy.

Odtąd jużem jej nie zoczył,  
Choć nieraz długo szukałem,  
Choć okolicem okroczył,  
Choć niejednego pytałem.

Aże dopiero pszenicę  
Kiedyśmy żeli w tym lecie,  
Postrzegłem, jako ma Nice,  
Niosła na ręku swe dziecię.

Ale bojąc się, by z żalu,  
Nie chciała wydać mię komu,  
Ominąwszy ją pomału,  
Uciekłem spieszno do domu.

## KOBIETA, CZUŁY I MŁODY

### Powieść

W jednym stołecznym mieście  
Mieszkała pewna dama niezmiernej urody;  
Z pięknym ją urodzeniem wiek zaszczycał młody  
I inne chluby niewieście.  
Nielatwa umizgów sztuka:  
Wzrost, kibić, grzeczność, nauka,  
Takie dary i przymioty  
Niejednemu z młodzików w oczy uderzyły,  
Nie każdy był jednak miły  
Choć się jej podobania dosyć miał ochoty.  
Pomiędzy tą pustą zgrają  
    Letnich, młodzianów i pustych fircyków  
Najwierniejszy z miłośników,  
Jakiego żadne romanse nie mają:  
Czuły i tkliwy,  
Powiadano, że cnotliwy,  
Czuć go na miłą miłością –  
    Bez przestanku łąził za jejmością.  
Ustawicznie wzdychał, szlochał,  
Powiadał jej, że ją kochał,  
I powtarzaniem własnej ustawnym czułości;  
Tak ją nudził, tak ją swędził,  
Że ją był prawie wywędził  
I zaledwie ze skórą zostawił jej kości.

Wszyscy się litowali nad tą damą młodą;  
Szczęściem się chłopiec natrafił raźniejszy  
I do miłości zdatniejszy,  
Który zjęty jej urodą  
Zaczął jej nadskakiwać i szeptać do ucha.  
Choć to do rzeczy nie było,  
Młodość młodości łacniej jednak słucha:  
Z równym się rozumieć miło.  
Na koniec, po staraniach dziełu przyzwoitych  
I trudnościach w nich zażytych,  
Dopiął swego mój młodzieniec;  
I właśnie, gdy zwycięski kładł na głowę wieniec  
I pieścił się z najmilszą zdobyczą swych trudów,  
Przez przypadek nieszczęśliwy  
Nadszedł na to luboń tkliwy  
I stał się widzem tych cudów.  
„Nieba – zawołał – i ty, jasne słońce!  
Księżycu, co oświecasz zdradne niewierności!  
Wy, świadkowie mej czułości,  
Gwiazdy świetne, nieba gońce!  
Przestańcie świecić, przykra mi jest światłość wasza,  
Wzrok mój mocy jej nie znasza.  
Róże, coście czułości ozdabiały czoło,  
Możecie już więdnąć sobie!  
Po tak Nielitościwej na mą tkliwość próbie  
Patrzeć już na was nie mogę wesoło.”  
„Nie skarż się! – rzecze mu przyjemnie  
Piękna dama, na której niewierność narzekał. –  
Czyniłam, co było ze mnie,  
Abyś na twoją szczęśliwość nie czekał.  
Coś dziś widział, gorszyć się z tego nie masz prawa.  
Na obu jestem łaskawa  
I nadgrodeń za miłość waszą dzielić muszę:  
Jemum ciało już dała, tobie daję – duszę!”



ODPIS IMIENIEM PEWNEJ DAMY  
NA BILET OD NIEZNAJOMEGO JEJ  
DO ŁOŻY RZUCONY

Grzeczne twoje pochwały  
Pewnie by się miłości własnej podobały,  
Gdybym jeszcze moc miała uczynić wyboru,  
Ale gdy sercem moim już nie władam,  
W szczerości to ci powiadam,  
Że nie będziesz miał mi się podobać honoru.  
To serce, którym przedtem sam przypadek rządził,  
Teraz już ktoś je zastanowił mile:  
Dziś chcę nadgrodzić te chwile,  
W których mój umysł kiedyś nieprzyjemnie błędził.  
Jeśli cię płocha żądza nie uwodzi,  
Którą w twych zmysłach kaprys do mnie rodzi,  
I jeśli czujesz, co to jest kochanie,  
Uważ sam, czy zajętej już miłością duszy  
Obce jakie czucie wzruszy,  
Byle czyje oświadczenie.  
Zatem, gdy do mnie palisz ofiary daremne,  
Życzę ci inne czcić ołtarze nimi:  
Tam będą może przyjemne,  
U mnie już są – niewczesnymi.

## DO MEŻA ZALOTNICY

Gdzie żona krok obróci, tyś jest zaraz za nią:  
Nie tak półrocze jagnię za matką barania,  
Nie tak kurczę za kwoką, nie z taką pilnością  
Płatny lokaj za swoją spieszy się imością.  
Czegóż chcesz? czy jej słabej żądasz ustrzec cnoty?  
Bracie! dla większej twojej powiem ci zgryzoty:  
„Już nie czas i” – i wielkimeś w mych oczach  
[partaczem,  
Jeśli się być dotychczas nie sądzisz rogaczem.  
Ale cię bojaźń taka pewnie nie zaprząta  
I jeśli łazisz za nią od kąta do kąta,  
Inne masz ułożenie; znam ja cię, mój panie,  
Nie mogłoby cię takie zatrudnić staranie,  
Lecz jak dobry gospodarz masz inne zamiary:  
Umiesz się obejść zręcznie z takimi towary  
I dlatego na pilnej zawsze jesteś straży,  
By cię nie oszukała żona na przedaży.

## CO KTO LUBI

Niechaj się opój kieliszkiem bawi,  
Szuler przy kartach niechaj czas trawi,  
Jeździec na koniu niech się uwija,  
Żołnierz na wojnie niech drugich zbija,  
Dworak w pałacach niech piętą kręci,  
Lichwiarz niech piątki, soboty święci,  
Jurysta niechaj z swych kratek gada,  
Ksiądz niechaj zdziera, choćby i dziada,  
Mnich niech po domach sandały gubi:  
Bo tak najlepiej, jak kto co lubi.

## FILOZOF

Czy mam złoto, czym bez złota,  
Zawszem żwawy i wesoły;  
Pocziwego zdoła cnota,  
Ani mu wstyd, kiedy goły.

Żony nie mam, mieć jej nie chcę,  
Bo znam, co to być żonatym;  
Próżna duma mnie nie łechce –  
I na cóż mam być bogatym?

Gdy mi dobrze idą rzeczy,  
Fortunie bardzo dziękuję;  
Gdy mi swoich względów przeczy,  
Wcale się tym nie turbuję.

Żeby mi nie wiem jak srogim  
Ciosem Fortuna ścigała,  
Nie zrobi mi tak ubogim,  
By mi cnota nie została.

Niewielkich mi skarbów trzeba  
Na moje drobne ekspensa:  
Żyję bez białego chleba  
I bez kosztownego mięsa.

Ni mnie trzeba kosztu na to,

Żeby coś na świecie znaczył,  
Ani się stroję bogato,  
By mię ktoś przywitać raczył.

Nie zabieram spółki z tymi,  
Których przyjaźń ma kosztować,  
Bo nie chcę pieniędzmi mymi  
Przyjaciół sobie kupować.

Przyjaźń, co odbiega w nędzy,  
Co się nie jedna z przymioty,  
Co jest tylko dla pieniędzy,  
Traci u mnie imię cnoty.

Tak więc żyjąc w własnym domu,  
Mam się za dość bogatego;  
Kiedym nie dłużny nikomu,  
Kontent jestem z losu mego.

## ZŁE CZASY, NIE JA

Gdyby mię krasnym stworzyła natura,  
Mało bym wcale troszczył się o siebie,  
Bo mię babunia pokochawszy która  
Hojną by rączką wspierała w potrzebie.

Albo też gdybym urodził się panem,  
Doszedłbym chwały i względów świątyni:  
Byłbym rozumnym, grzecznym i kochanym,  
Bo złoto teraz z głupca mądrym czyni.

Lub chciałbym wiedzieć szczęśliwego sposób,  
Co bez majątku i nauk, a przecie  
W gronie najpierwszych umieszcza się osób  
I w pięknej jeździ w resorach karecie.

Przystalbym w służbę króla Faraona,  
Gdyby był swoim faworytom stały,  
Lecz jak mu padnie myśl w głowie szalona,  
Wydziera płatę i majątek cały.

Szukałbym szczęścia w żołnierskim mundurze,  
Lecz cóż?... kiedy ja życie steram w boju,  
Młode paniątko przez matulki burze  
Dostanie wakans siedzący w pokoju.

Względy u dworu są słońca promienie,

Co wzniosłych tylko jodeł wierzchy grzeją,  
A niskie krzewy, skryte pod ich cienie,  
Nie ogrzewane, bez wzrostu niszczej.

W gnuśnym zaś zasnąć bez czynów łożysku,  
Stać się próżniakiem, niedbałym, leniwym,  
Lub mieć dostatki, a być w pośmiewisku,  
Jest to być w samym szczęściu nieszczęśliwym.

Cóż mi ów kanon, co się pasąc długim  
Dziesięcin zbiorem, z utuczonym brzuchem,  
Nieużyteczny ni sobie, ni drugim,  
Uległ pomiędzy kucharką a puchem!

A gdy zaległej raz mu dziesięciny  
Ktoś niezupełnym odmierzył wydziałem,  
Chociaż był odpust od kary i winy,  
Wyklął z ambony i z, duszą, i z ciałem.

Albo ów sknera, istny żyd niesyty,  
Co zdzierstwem z swych się sycąc biednych kmieci,  
Ludzi nie znając, sam w domu ukryty,  
Rad by zamienić w złoto własne dzieci!

Niewiele i ten w świecie użyteczny,  
Co cnotę gdzieś tam zbywszy na tandetę,  
Kręciel, oszczerca, zdrajca i wszeteczny,  
Na tym, że filut, zakłada zaletę.

Czasy złe wprawdzie w tym wieku nastaly,  
Ze żyjąc z cnotą trudno być szczęśliwym,  
Nie będę jednak nigdy tak zuchwały,  
Bym pragnąc szczęścia stał się niepocziwyrol

## SĄD CZTERECH MINISTRÓW

Święty Paweł, co ujrzał w Niebie, nam objawił,  
Com i ja w zachwyceniu widział, będę pawił:  
Gala była natenczas w siódmym Niebie wielka,  
Z chwały się boskiej dusza radowała wszelka;  
U drzwi niebieskich stały Cherubiny zbrojne,  
A nektar roznosiły Serafimy strojne;  
Sam na dyjamentowym Stwórca siedział tronie,  
Bóg-Syn naprzeciw stojąc patrzył w Jego skronie,  
A Duch Święty, jako nam Pismo przypomina,  
Ustawnie się przewijał od Ojca do Syna.  
Dzień był właśnie, którego boski wyrok bystry  
Miał sędzić z popełnionych win polskie ministry.  
Zatrąbiono, a żywot skończywszy dozgonny  
Stanął pierwszy u sądu ksiądz Kanclerz koronny.  
Święci, ciekawi, jeden drugiego popychał,  
Gdy przeczytał takowy dekret święty Michał:  
„Przekupna sprawiedliwość twych sądów zadwornych,  
Gorsząca okoliczność twych zabaw wieczornych,  
Na złe przemysł zażyty, szachry niegodziwe,  
Dla Króla, co cię wyniósł, chęci nieżyczliwe,  
Z cudzą krzywdą dobrego mienia żądza wściekła  
Sprawują, że na wieki musisz iść do Piekła.  
Ustał ów, a po nim ten, co się uśmiecha,  
Nastąpił księżę Kanclerz litewski Sapieha.  
Tego że nikt nie chwali ani też nie gani,  
Kazano mu na wieki chodzić po otchłani.



Borcha na jeden tydzień przyjął Czyściec brudny,  
Bo chociaż jest poczciwy, ale nadto nudny.  
Że swego zdania nie ma Litwy Podkanclerzy,  
Kazano mu być w Czyścucu na jednej wieczerzy.  
Do jutra sąd ministrów reszty odłożono  
I godzinę dziesiątą z rana naznaczono,  
A ja nad wyrokami myśląc niebieskiemi  
Rzekłem: „Toż samo sądzą i u nas na ziemi.”

[Styczeń 1776]

## DO OGIŃSKIEGO HETMANA WIELKIEGO LITEWSKIEGO

Nie wiem prawdziwie, mospanie hetmanie,  
Co się na tamtym świecie ze mną stanie?  
Książd Łuskina powiada, i wierzyć mu trzeba,  
Ze ja pójde do Piekła, on – prosto do Nieba.  
Cóż robić, kiedy w księgach mego przeznaczenia  
Tak stoi! – wyrok losu ciężko się odmienia.  
Żal mi jednak, że mię tam zła prowadzi droga,  
Bom ciekawy i rad bym widzieć Pana Boga:  
Jak poważnie na tronie z dyjamentów siada,  
Jak zręcznie bez ministrów tą machiną włada,  
Bo jak moim rozumem słabym mogę sądzić,  
Trudno kawałkiem ziemi, trudniej światem rządzić.  
Ale gdy pilnie sobie zważam z drugiej strony,  
Zem wcale do śpiewania nie przyzwyczajony,  
I choćbym był największym nabożeństwem zdjęty,  
Nie w takt bym pewnie śpiewał; „Święty! święty!  
[święty!”  
Cefas, który jest na czele  
Całej niebieskiej kapele  
(Mówią, że jest zapalczywy:  
Uciał ucho Malchusowi),  
    Jak mu się dawna cholera odnowi,  
Mogę być w Niebie z ręki jego nieszczęśliwy.  
    A potem, jeśli prawdę mam powiedzieć,  
Nie mógłbym tato długo siedzieć,  
    Gdzie by mi w wieczór, w południe i rano

Co dzień to samo śpiewano.  
Koncertem takim stęskniony,  
Powiedziałbym aniołom: „Skrzydlate stworzenia,  
Czemu się wasz hymn nudny nigdy nie odmienia?  
Czemu innymi Pana nie wielbicie tony?  
On wam tak ładne główki i skrzydła porobił  
I w rozmaite poksztalcił odmiany,  
A żaden się przez wdzięczność na to nie sposobił,  
Żeby był nowym hymnem przywitany.  
Jeśli pomiędzy wami genjusza nie ma,  
Niech się który na moment spuści do Słonima.  
Grzeczniej niż w Lota domu pewnie tam przyjęty,  
Wstydziliby się, że śpiewał kiedyś: Święty! święty!,  
A muzykę śmiertelną z swym równając chórem,  
Nie wiem, czyby nie został nieba dezertorem?”

Ogiński! nim cię przyjdzie ten anioł nawiedzić,  
Ja go muszę z pilnością koniecznie uprzedzić;  
Muszę też w życiu moim choć raz być szczęśliwy:  
Widzieć ciebie w Słonimie i te wszystkie dziwy,  
W których smakować będą anieli i święci,  
Podać pięknymi rymy do wiecznej pamięci,  
A jeśli je laurowym przyozdobisz wieńcem,  
Z ochotą po mej śmierci będę potępieńcem!

[1776?]

DO BONAPINI  
Z OKAZJI WIERSZA BIELAWSKIEGO

Et patior telis vulnera łacin meis.

O v i d i u s

Niechaj cię, Bonafini, nie unosi pycha,  
Ze do głosu twojego cny Bielawski wzdycha<sup>1</sup>.  
Frant to wielki i nieraz przyznał się przed nami,  
Że zwyczajny za progiem wzdychać i za drzwiami.

[Marzec 17761]

---

<sup>1</sup> IP. Bielawski w pieśni zaczynającej się: Zawszeni cię kochać umyślał. powiedział, i pięknie (jak sam twierdzi):

Bo kochanie jest mym Bogiem,  
Wzdychać będę i za progiem.  
A w komedii Natrętów jest wiersz jego;  
Nie przerywając jej czasu do czasu  
Wzdychałem sobie u drzwi bez hałasu.  
(Przyp. aut.]

## ODPOWIEDZ BIELAWSKIEMU

Żal mi mocno, że na twe zasłużył niełaski,  
Adiutancie Buławy i Feba, Bielawski!  
Wyrzucasz mi, że myśli pobrałem z Woltera –  
Nie chce się tego zaprzecć moja Muza szczerą.  
Zawsze mi to zadawaj, nie będę się gniewać:  
Wolę innych tłumaczyć niż tak jak ty śpiewać  
I stać się naśladowcą Woltera woląłem,  
Niżeli takim jak ty być oryginałem.  
Smutny jest los nieboszczki Buławy i Feba,  
Że takiego im dały adiutanta nieba.

[Marzec 1776]

DO JÓZEFA BIELAWSKIEGO  
NA WYRAZ „ONO”  
UŻYTY W JEGO WIERSZU DO KRÓLA

Ni ty Polak, ni poeta, ni sławiciel Piasta,  
Za twe „ono” warteś pono, co się robi z ciasta.  
Za twe „ono” warteś w łono ze sto basałków,  
Byś do króla [już] nie pisał tak kiepskich wierszyków.

## O POŻYTKU NIEMIENIA

Dziękuję tobie, panie Nakwaski,  
Żem się zabawił wczoraj z twej łaski,  
Bo ci się przyznam, że choćem nie letki,  
Z tym wszystkim lubię wino i kobiety,  
Lecz na nieszczęście nielaskawe losy,  
Dawszy gust pański, usunęły trzosa.  
Przy miernej jednak nie rozpaczam doli  
I milczeć zwykłem, choć mię co zaboli.  
Wolałbym, prawda, ja tak jak i drudzy,  
Których być musim uniżeni sładzy,  
Na giętkich prętach w angielskiej karecie  
Sześciu kucami wiatr pędzić po świecie  
Albo na dzielnym turczynie zawodzić,  
Bo zawsze lepiej jeździć niżli chodzić.  
Ale cóż robić, mój kochany bracie:  
Jedni się w zamku, drudzy lęgną w chacie;  
Nie wszystkich równo natura obdarza;  
Nie nam to pierwszym nieszczęście się zdarza;  
Ubóstwo czasem na dobre wychodzi  
I zbytek w ludziach często głupstwa rodzi.  
I stan ubogi godzien jest zawiści.  
Ma i on swoje nad inne korzyści:  
Nie będziem szaleć, bo nie mamy z czego,  
Lecz też nikt błędu nie wskaże naszego.

Patrzaj, ów księżę, panek zawołany,

Jaką ma sławę i jak jest wyśmiany!  
Czemu? Bo liczne dziedzicząc zagrody  
Życie prowadzić musiał według mody:  
Prosto z konwiktów pobiegł do Paryża  
I tam to najprzód zgrał się do halirza,  
A chociaż jeszcze nic nie znał w swym kraju,  
Musiał tam jechać przecie dla zwyczaju.  
Bez doświadczenia, nauki, rozsądku,  
Utracił honor z połową majątku.  
Powrócił nazad, jakoż nie bez zysku:  
Przywiózł gryz w kościach, a nędzę na pysku.  
Wzgardził ojczyznę i z niej się naśmiewa,  
A w gnieździe własnym z wstydem przemieszkiwa.  
Tak więc, dobrego plemię patryjoty,  
Stał się wyrodkiem narodu i cnoty.

Fortuna ludzi zwyczajnie odmienia  
I śmieszne w głowie roi ułożenia;  
Widzisz, z owego co się stało teraz,  
Co z nami chodził i przesiadał nieraz,  
Jak posłużyły dubieńskie kontrakty:  
Innymi zaraz począł stąpać takty;  
Skoro się przeniósł z bruku do karety,  
Stroi narowne jak rumak korwety;  
Jak się nadyma z swojej karyjolki,  
Śmiałem się ongi, aż mię wsparły kolki;  
Głowę na karku, jak orzeł, kieruje,  
Nikogo nie zna, choć się przypatruje;  
O równych nie dba, a niższych nie widzi,  
Nie pomnąc na to, że z takich świat szydzi.

Chwała bądź Bogu, że mamy niewiele,  
I z nas by może drwili przyjaciele.



Któż wie, mospanie, jeśliby pieniądze  
I w nas też inne nie wznieciły żądze?  
Może by i my, posiadając zbytki,  
Pańskiej próżności stawiali przybytki;  
Może by i my skarby tkali w mury  
I mniej potrzebne wznosili struktury,  
W których na pozór uboga prostota,  
A wewnątrz zbytki i rozpusta złota;  
Może by i my, z kaprysu lub mody,  
Wspaniale chcieli wystawiać ogrody,  
W nich labirynty, świątnice Dyjanny,  
Wyspy cypryjskie, mruczące fontanny.  
Wszyscyśmy ludzie podlegli odmianie –  
Może by i my szaleli, mospanie!  
Bo któż dziś dobrze majątku używa?  
Jeśli nie szumi, to w karty przegrywa,  
A chociaż nędzarz od głodu umiera,  
Któż na te jęki swój worek otwiera?  
Lepiej mieć mało, mierność cnoty cechą:  
Można z pałaców śmiać się i pod strzechą.

[1776]

## LIST DO WIERSZOPISÓW

Scribimus indocti doctique poemmata passim.

H o r a t i u s

Moi wielce mościwi bracia i panowie,  
Bo i u was jest czasem państwo w pustej głowie,  
Różnego stanu, wieku, nauki poeci,  
Bękarty czyli prawe Apollina dzieci,  
Posłuchajcie! – wszak słuchać nigdy nie zawadzi,  
Jeżii co kto dobrego z przyjaciół poradzi.  
Niegodnym współczeladnik jest waszego cechu:  
Pisałem, nie uszedłem pochwały i śmiechu;  
Piszę przedsię i pisać jeszcze długo będę,  
Nim w rząd dobrych policzeń na Parnasie siędę.

Są, którzy już za życia ozdobni laurami,  
Jako z dziećmi swoimi postępują z nami,  
A byстрыm lotem swoim wzniosłszy się wysoko,  
Ledwie na liche prace raczą rzucić oko;  
Nie będę pochlebnyymi, bo mi już obrzydły,  
Błagał nieukróconą ich dumę kadzidły  
I żaden mi dotychczas nie zarzuci jeszcze,  
Abym miał pochlebstwami podlić dary wieszce.  
Biskupi, kanonicy, świeccy i pijarzy,  
Słowem, wszyscy, którym się wiersze pisać zdarzy,  
Czyńcie jak ja: bazgrajcie, drukujcie, co chcecie,  
Ale wszystkich bez braku nie chwalcie tak przecie.

Gdziekolwiek się obróć, w które pójdę strony,  
Wszędzie nudnymi rymy jestem zarzucony:  
Ten człeka bez sumnienia pocziwym być głosi;  
Ten sprzedawcę ojczyzny w niebiosa wynosi;  
Ten, że kto za pieniądze urzędu nabędzie,  
Wielbi i w zasłużonych chce go mieścić rządzie.  
Wiersze piszą, byleby czyje imieniny;  
Wiersze znowu, byleby czyje urodziny;  
Jeszcze wiersze, byle kto, sprzykrzywszy sam w domu,  
Ślubował przy ołtarzu kaci wiedzą komu!  
Jęczą prasy i biedni drukarze się poca,  
Głupie się mózgownice ledwie nie przewrócą.  
Obiecują ojczyźnie poprawę złej doli;  
Dlaczego? – że się żeni jakiś pan podstoli!  
Oto nieszczęścia wszystkie z ojczyzny wystraszy  
Żeniący się z sędzianką jakiś pan podczaszy!  
Niech który mąż w chwalebnym zapale w łożnicy  
Dziecko zbuduje godnej swojej połowicy  
I ta je, przez miesiące dziewięć odtąd chora,  
Na świat wyda z pomocą baby lub doktora,  
Już hałas na Parnasie! – nie śpią puste głowy,  
Cel rymom jest dla wszystkich pochlebców gotowy.  
Jeżeli syn, to będzie Aleksander pewnie,  
Ze się nie chciał urodzić prędeż, płaczą rzewnie;  
Byłby niechybnie przez swe męstwo i swe dzieła  
Obronił to, co obca przemoc Polszcze wzięła,  
Lecz i tak nieomylnie powzięli nadzieje,  
Ze nam z jego pomocą szczęście zajaśnieje.  
Jeśli córka, to będzie Lukrecyja czysta,  
I z jej to ułożenia już rzecz oczywista.

Każdy to przepowiada, a żadnemu przecie  
Nie zdarzyło się zgadnąć dotychczas poecie.

Co dzień ta w rymach waszych nadzieja nas krzepi,  
Że ma być kraj szczęśliwy, że nam ma być lepiej;  
Co dzień się ludzie rodzą i co dzień się żenią,  
Losy nasze bynajmniej w lepsze się nie mienia.  
Dajcie pokój, gdy się wam nigdy nic nie iści,  
Nie mając zwłaszcza żadnej z tych proroctw korzyści.

[Lipiec? 1776]

## LIST DO JMCI STAROSTY GARWOLIŃSKIEGO

Toute reputation qui ne provient d'ua vrai  
merite nous est etrangere et pernicieuse: son  
encens porte a la tete, mais ne penetre pas  
au coeur.

Zacny Bieliński, niechaj się nikt u mnie  
Nie chlubi próżno ni wynosi dumnie,  
Że się urodził lub został księżciem,  
Hrabią, baronem lub margrabi zięciem.  
Że liczne włości i zamki posiada,  
Które nań złała krew, przemoc lub zdrada;  
Że go wspaniałe obejmują gmachy,  
Ściany marmurem, złotem tkane dachy.  
Cały się świeci natkniony gwiazdami,  
Różnych kolorów powiązań wstęgami;  
Pieczęcią, laską pyszny lub buławą,  
Hagę i Lejdę swą napęlnia sławą.  
W ręku swym trzyma serce swego pana,  
Podchlebstwo przed nim zgina swe kolana  
I podłym bluszczem uwieńczywszy skronie  
Los w nim ubóstwia przez ofiarne wonie.  
Ślepego trafu właściwe to znaki,  
Prawej wielkości blask wcale nie taki.

Ten jest prawdziwie wielkim mężem u mnie,  
Kto samym sobą kierując rozumnie,

Chęci i żądze, gdy jak człowiek czuje,  
Nie one jemu, lecz on im panuje.  
Marnym przepychu blaskiem gardzi śmiało,,  
Niewiele pragnie, przestaje na mało  
Ani, co próżność uwielbia i ceni,  
Zalety szuka w czczym świetle kamieni.  
Świetnym go honor nie razi widokiem,  
Równym na nędzę z szczęściem patrzy okiem,  
Nikłego chwały nie ugania cienia  
Ani próżności zna w sobie nasienia.  
Zdzierstwem i krzywdą bliźniego się brzydzi,  
Ratuje, gdy go w nieszczęściu być widzi.  
Nie wie, co słuszność lub grzeczność przedajna  
Ani co chytrość czasom tym zwyczajna.  
Niższych hardymi nie depce oczyma  
Ani się w złotym powozie nadyma.  
Pełnić powinność swej chęci ma celem,  
Wie; kogo, komu, mieć, być przyjacielem,  
Dobro powszechne nad własne przekłada,  
Nie zna, co chciwość, fałsz, interes, zdrada.  
Krajowi służy wiernie i z ochotą,  
Woli być niżli zwać się patryjotą.  
Z zasług się swoich wielkości nie chlubi  
Ni ich stąd liczy, że ojczyznę gubi.  
Nauk i kunsztów zna i kocha wdzięki,  
Cenić je umie hojnością swej ręki.  
Dobre i w innych szacuje przymioty,  
Pozorność zawsze rozróżnia od cnoty.  
Ani zazdrosny, ani zemsty chciwy,  
Ani obłudnie święty i gorliwy.  
Pełen litości nędzę wyrozumie,  
Hojnym, gdy pora, i ludzkim być umie.  
Nie dumny w szczęściu, nie podły w potrzebie,

Zna świat i ludzi, a najpierwej siebie.  
Na srogość losów nie łaje, nie fuka,  
W krajowej burzy swych zysków nie szuka.  
Nic go nie smuci, nie trwoży, nie nudzi,  
Ani sam siebie, ani innych ludzi.  
Kontent z tej, w jakiej los go chciał mieć doli,  
Dobrym być raczej niż szczęśliwym woli.  
Takowych mężów o jakże zbyt mało!  
Szczęśliwyś, jeślić widzieć się ich dało.

[1776]

## MYŚL MOJA

DO J. W. STANISŁAWA BIELIŃSKIEGO,  
STAROSTY GARWOLIŃSKIEGO

Piąty już lustr, Bieliński, zaczynam, a przecie  
Nicem jeszcze dobrego nie zażył na świecie.  
Liczniejsze miał od moich wielki Cezar lata,  
Kiedy płakał, że jeszcze nie był panem świata.  
Mnie pewnie tym podobne nie frasują troski:  
Nie świata chcę być panem, ale dobrej wioski.

Szczęśliwy, komu dziady za sadło i krupy,  
Skąpo żyjąc, grosz na grosz zbijali do kupy;  
Woli on, że się tego trzymali rzemiosła,  
Niż żeby byli wnieśli buławy i krzesła:  
On może za pieniądze być honorów syty,  
A nikt nie da szeląga na dawne zaszczyty.

Co zaś mnie, gdyby teraz, pókim jeszcze młody,  
Liczne się po rodzicach dostały dochody,  
Kontent z dobrego mienia, z sprawiedliwych względów,  
Nigdy bym się do żadnych nie kwapił urzędów.

Piękna jest rzecz marszałek, gdy łaskę podniesie  
I głosem ministrowskim woła: „Uczście się!”,  
Ale dotkliwe serce na tę myśl truchleje,  
Że czasem mimo woli krew niewinną leje.  
Toż przyjemne, kiedy kto do kanclerstwa dożył,



Sprawiedliwy Zamoyski pieczęć jednak złożył.

Miło jest w domu swoim mieć zaszczyt buławy,  
Lecz czyż można w pokoju wielkiej nabyć sławy?  
Pomyślne, kiedy skarbem kto bogatym władnie,  
Lecz imię nieskażone utrzymać nie snadnie.

Wielkim by to zaiste było mi honorem  
Być albo urzędnikiem, albo senatorem,  
Ale do krzesła jeszcze młoda ma osoba,  
Próżniactwo zaś urzędów mi się nie podoba,  
Gdy ich po większej części obowiązek wszelki  
Częstować z nabożeństwem dziadów w Czwartek  
[Wielki.  
Przykładny to uczynek, lecz ten trochę stracił,  
Kto tę drogę do nieba bogato opłacił.

Mnie zacne wychowanie i względna natura  
Kazały naśladować ściśle Epikura:  
Sądzić wszystkich równymi, dawać wiary mało T  
emu, co kiedyś będzie i co się już stało;  
Dostatków i rozkoszy używać dość skromnie;  
Nie dbać, że chciwy dziedzic nic nie weźmie po mnie;  
Utrzymać jednostajnie tę spokojność duszy,  
Choć mnie starość siwymi włosami przyprószy;  
Pogardzać, że mnie jady swymi potwarz chłosta;  
Iść przed się, gdzie mnie tylko wiedzie droga prosta,  
A kiedy, dopełniając przyrodzone prawa,  
Krew już w żyłach wolnieje i życie ustawa,  
Nie dbając, jaki wyrok może przypaść z góry,  
Oddać ciało nikczemne na łono natury,  
Jak gdybym z mej kochanki zezwoleniem wspólnym  
Po spełnionej rozkoszy snem zasypiał wolnym.

Tak nauczał Epikur będąc jeszcze młody,  
Mając wszystkie potrzebne do życia wygody;  
Cięższa jest w niedostatku tych reguł praktyka  
I łatwiej naśladować owego cynika,  
Który w becce zamknięty pędząc nudne lata  
Dziwem i obrzydzeniem stał się razem świata.  
Mędrców takich gromady na każdej ulicy  
Więcej niżeli kędy w tej mamy stolicy.

Mnie gdyby ten, co może zmienić ludzkie stany,  
Mógł policzyć przypadkiem jakim między pany,  
Umiałbym z tą odmianą pewnie być szczęśliwy.  
Najpierwej twe, Paryżu, szedłbym widzieć dziwy  
I z źródła różnych zabaw czerpając po trosze  
Wiek bym mój na nauki dzielił i rozkosze,  
Póki by krew gorąca i potrzebne siły  
Do takiego sposobu życia wystarczyły,  
Ale jakbym się tylko zbliżał do starości,  
Gdzie mniej trzeba uciechy, a więcej wolności,  
Tam by osiąść najpierwsze było me staranie,  
Kędy ojczyzna Russa, Woltera mieszkanie.  
Tam wespół z pracownymi obcując Szwajcary  
Paliłbym tym dwom mężom niezgasłe ofiary  
I od brzegów Genewy rzekłbym sobie z cicha:  
„Darmo Polak do dawnej szczęśliwości wzdycha.”

Ale gdzie mnie uwodzisz, obłądliwa myśli?!  
Próżno sobie mój umysł obraz szczęścia kreśli  
Trzeba się zostać w Polsce w liczbie nieszczęśliwych:  
Co dzień się lękać zemsty ukrytej złośliwych,  
Chwalić wartych nagany, przed podłymi klękać,  
Pod jarzmem najgrubszego uprzedzenia stękać,

Widzieć co dzień nieuków mędrkami nazwanych  
I o cnocie bzdurzących za cnotliwych mianych.

Bitnych Sarmatów z wszech miar nieszczęśliwe plemię,  
Niepewni posiadacze zostawionej ziemi,  
Nie sądźcie, że jesteście bliscy oświecenia:  
Ledwie się z barbarzyństwa dobywacie cienia.  
Jeszcze wam dotąd prawdy nikt nie śmie objawić,  
Życzę z serca, żeby to lepszy los mógł sprawić.

[1776]

PORTRETY PIĘCIU ELŻBIET  
BEZSTRONNYM PĘDZLEM MALOWANE I W DZIEŃ ICH IMIENIN  
OFIAROWANE OD PRZYJAZNEGO OSOBOM ICH SŁUGI

J. O. B. K. K. H. W. K.

Przy wielkich oświadczeniach nie służy nikomu;  
Grzeczna, ale skwierkliwie skąpa w swoim domu.  
Nic miłości, mało zna przyjaźni jej dusza;  
Nikt prócz braci zimnego serca jej nie wzrusza.  
Lubo pozoru nie ma, ma umysł bigotki;  
Nie mówi źle o ludziach, lubi jednak plotki.

X. C. G. Z.P.

Przyjemności w dowcipie swoim ma tak wiele,  
Ile wdzięków w powabnym i kształtnym jej ciele.  
Ma dziwactwa niemało, a czasem jest płocha;  
Bez przyczyn nienawidzi i bez przyczyn kocha.  
Dzieciom wielką, mężowi miłość chowa mierną:  
Umie być Penelopą razem i niewierną.

X. L. M. W. K.

Z grzeczności Czartoryską znać i z jej wejrzenia,  
Ma jednak wykwintnego nadto przymilenia.  
Mówią, że miłosierna, radem wierzyć temu:  
Wyświadczyła niemało Domowi Nowemu<sup>2</sup>.  
Przy znacznych jej przymiotach ta słabość nie wini:  
Owszem, w oczach młodzieży szacowniejszą czyni.

---

<sup>2</sup> Je demande pardon pour la platitude

P. P. W. X. L.

Przyjemna, grzeczna, dobra, dowcipna i żywa –  
Któż się w tym Pisarzowej postrzec nie spodziewał!  
Dałbym życie, aby twój mąż, bakałarz srogi,  
Mógł na swym łbie uczonym ciężkie dźwigać rogi.  
W swojej byś go na koniec stawiała kolei,  
Lecz cnota twa nikomu nie czyni nadziei.

X. S. W. M.

Związkiem ścisłym spojone chodzą na wyścigi:  
Rozkosz dla ciała twego, dla duszy – intrygi.  
Rządzić czasem i sobą umiesz po staremu,  
Bo jedno nie przeszkadza bynajmniej drugiemu.  
Być drugie tak jak pierwsze wiodło się skutecznie,  
Polską całą mogłabyś rozrządzać bezpiecznie,

[Na 19 listopada 1776]

## MOJA EKSKUZA

[DO KSIĘDZA GRACJANA PIOTROWSKIEGO]

Nie mam w ustach czułości ni bzdurzę o cnocie,  
Nikt mię jednak przy podłej nie zastał robocie.  
Dla zysku nic nie czynię, prawdę mówić lubię,  
Nieprzyjaciół skrytymi podstępny nie gubię.  
Dusza moja nie może znieść fircyków dumnych,  
Nie cierpię pedagogów, ale czczę rozumnych,  
I lubo na mnie czarna zawiść się oburza,  
Nie zrobię karła wielkim ani Marsem tchórza,  
A kiedy przyzwoitą znacę kogo cechą,  
Zawsze mię wspierać musi pospolite echo.

Niejeden, co mych szczerych rymów z chęcią słucha,  
Przyjacielowi swemu poszepnie do ucha:  
„Tego poety dzieła ile czytam razy,  
Zda-m się żyjące widzieć nałogów obrazy.”  
Wszyscy mi to przyznają i me letkie wiersze  
Bawią i stan pomierny, i osoby pierwsze.  
Za to, miasto poklasku, to trzymam w korzyści,  
Żem się stał u dusz podłych celem nienawiści  
I zdradne ich pociski pewnie mię obarczą,  
Jeśli mię wierna przyjaźń swą nie złoży tarczą.  
Lecz co mówię? Wszystkom ci winien, o przyjaźni!  
Z tobą mogę wśród węzów chodzić bez bojaźni,  
Z tobą mi jest nieszczęście miłe, a bez ciebie  
Żyć by mi się sprzykrzyło z aniołami w Niebie.

Tobie ja jako bóstwu postawię ołtarze,  
Tobie ogniem wdzięczności kadzidło rozżarzę –  
I niech kto trwały związek ma sobie za baśnie,  
U mnie pamięć przyjaźni nigdy nie wygaśnie.

Wy, co nie znacie co to sądzić z przekonania,  
Ślepo swych mecenasów trzymając się zdania,  
U was zasług i cnoty ta największa próba,  
Kiedy się kto waszemu łaskawcy podoba.  
Nie mam wam za złe tego, że z domu do domu  
Wozicie na mnie grube plotki po kryjomu,  
Ni was za to potępiać może moral ścisły:  
Od tego sława wasza z fortuną zawisły.  
Ale jeśli wam jeszcze umysł uprzedzony  
Pozwoli słuchać jasnych przyczyn z mojej strony,  
Jeśli zechcecie sądzić, dopiero poznacie,  
Że mię tylko na cudze słowo potępianie.

Jakież są najmocniejsze przeciw mnie dowody?  
„Nadto sobie pozwala (rzecze ktoś) pan młody,  
Kiedy mnie, co ni z wzrostu rówien jest, ni z głowy,  
Co mi we wszystkim ledwie sięga do połowy,  
Śmiał to jaśnie w swym jednym piśmie utrzymywać,  
Żem bez sensu i składu zwykł wiersze pisywać,  
Ale obaczy wkrótce, co go za to czeka,  
Ze się ważył porywać na wielkiego człeka.”

Nie strasz, bracie, bo nikt się twoich gróźb nie boi;  
Mądryemu się do tego gniewać nie przystoi.  
Mówmy z wolna: powiedz mi, żeś jest sama cnota,  
Żeś piękny, żeś zabawny, dobry patryjota.  
Dla mojej spokojności – powiadam ci szczerze –  
I takim nawet bajkom bez wstępu uwierzę.

Dość masz ze mnie; z swej strony pozwól mi tej łaski,  
Ze gorzej trochę piszesz niżeli Bielaski.

„To mniejsza (rzecze drugi), nikt temu nie przeczy,  
Ze ten jegomość pisze wiersze nie do rzeczy,  
Ale za to niemalej jesteś wart nagany,  
Ze na wszystkie bez braku targnąłeś się stany  
I w swych dziełach późniejszych czyniąc sobie drwinki  
Niejednegoś swoimi rozżalił przycinki.”

Prawda, to pozorniejsza jest trochę przyczyna  
I wielka by niechybnie była moja wina,  
Bym sobie pozwalając zartować tak srogo,  
Pojedynczo w mych wierszach śmiał wymieniać kogo,  
Tak przecie, dawniej trochę, modele mej pracy,  
Czynił ostry Boileau i stary Horacy,  
I umiejąc wybornie z szydności korzystać  
Udało im się nieraz swych ziomków wyświstać.  
Pomimo tej jednakże mniemanej przywary,  
Mieli wielkich monarchów i przyjaźń, i dary.  
Jam ni wsparcie miał takie, ni śmiałości tyle,  
I jeżelim satyrze poświęcił me chwile,  
Zawszeni się starał o to, aby szydząc z wady  
Nigdy osób szczególnych nie brać za przykłady.  
To tylko mym nieszczęściem, że czytany chciwie,  
Zdarzyło mi się nieraz malować szczęśliwie  
I, lubom nie chciał ściągnąć niczyjej obrazy,  
Rozumiał świat złośliwy poznać me obrazy.  
Chociem rzekł na wiatr, że kto czuł albo głupi,  
Tysiąc się ludzi do mnie pytać o to kupi,  
Czy nie o nich ta wzmianka? Po co to pytanie?  
Ty sam siebie najlepiej musisz znać, mospanie!  
Tak nie można lichwiarza portretu wyrazić,



Zęby wszystkich na siebie Żydów nie obrazić,  
Ni śmiać się, że kto zawsze goły robiąc złoto,  
Zęby się adeptowie nie gniewali o to;  
Ni odkryć, że kto cudzą zasługą się szczyci,  
Zęby się nie jurzyli ichmość hipokryci;  
Ni powszechnie naganiać rozsiewaczów plotek,  
Zęby podchlebców ani urazić szczebiotek.

Bardzo dobrą mi bajkę los mój przypomina,  
Z której początek bierze cała moja wina:  
Raz król zwierząt, by swojej chimerze dogodził,  
Tym chodem laził na drzewo, jak po ziemi chodził,  
Ale gdy się daremnie przez długi czas biedzi,  
Spojrzy w górę, a ślimak na wierzchołku siedzi.  
Na widok tak nikczemny złość go mocna bierze:  
„Jak – rzecze – wleźć tam mogło to tak podłe  
[zwierzę?”  
„Dziwię się – rzekł mu ślimak – żeś tego nie wiedział:  
Kto się czołgać nie umie, nie będzie tu siedział.”  
I mnie też to nienawiść sprawiło i biedę,  
Że się nie czołgam, ale moim krokiem idę,  
Ale żebym do zgonu miał być nieborakiem,  
Wolę być lwem w nieszczęściu niż szczęsnym –  
[ślimakiem!

[1776/1777]

## DO STANISŁAWA TREMBECKIEGO

Ty, co niezwiędłym liściem uwieńczywszy skronie,  
Nie przestając, żeś usiadł na Parnasu tronie,  
Zstępujesz do ciemnicy dziejów z oświeceniem,  
Nowego światła darząc nasz naród promieniem.  
Powiedz, przez jakie czary, jakimi sposoby  
Nigdy się zazdrość tw'ojej nie śmie tknąć osoby?  
I choć sława wyniosła imię twe wysoko,  
Nigdy na cię zawistnych nie zmarszczy się oko?  
Ja, który niżej stojąc, miernymi przymioty  
Żadnej bym nie powinien dawać jej zgryzoty,  
Choćbym rad być ukryty, przez jakąś niedolę  
Kochanych mych współbraci nadto w oczy kole.  
Ale się przyznać muszę: nazbyt miałem chęci  
Uwiecznić się zawczasu w Kościele Pamięci.  
Nie każdemu jednak fortuna łaskawa:  
Jam szukał sławy, ciebie zaś szukała sława.  
Niechaj pierwsza ozdoba lasu, dąb, powstanie,  
Trzymając nad tysiącem drzewek panowanie,  
Każdy gałęzi jego szanuje i broni,  
I od upału słońca pod ich cień się chroni.  
Ale niech wśród zielonej i równej darniny  
Zdziebło się nowej trochę podniesie krzewiny,  
Zaraz to ściąga oko, a ręka złośliwa  
Z pośrodku młodej trawki z gniewem je wyrywa.  
Żal mi losu autora, który zazdrość sprawił;  
Kto chce, żeby do zgonu słodko życie trawił,

Niechaj siedzi spokojnie, niech nie bije w oczy;  
Zgubiony, czyja sława na świat się wytoczy.  
Czas, miejsce, okoliczność twe szczęście sprawują;  
Dzisiaj cię nienawidzą, jutro cię szanują.  
Tam gdzie szalony Pyrron przez posągi słynie,  
Sokrat prawdę objawia i trucizną ginie.  
Boileau, ostry krytyk, na wszystkich się dąsa,  
Każdego po imieniu nielitośnie kąsa;  
Ma spokojność, bo Ludwik wsparł go ręką swoją:  
Za kim król, tego wszyscy zapewne się boją.  
Kto jak ja oprócz siebie nie ma wsparcia cale,  
Powinien by przyjaciół robić, nie rywale.  
Ale cóż? miłość własna nigdy niespokojna,  
Żywemu dowcipowi przyzwoita wojna:  
Przykrzą mu się nieznośne uprzedzeń okowy,  
Coraz go w jego pracy cel zaprzęta nowy  
I tak jest w swych odmianach jak kokietka płocha,  
Która co dzień innego miłośnika kocha.  
Próżność jego bez myśli na sztych się wydaje,  
Innym zabawką, panu tylko złym się staje.  
Lecz dosyć już narzekać tym tonem płacziwym;  
Podobać się nie jest to zbyt być nieszczęśliwym.  
Czasem nam dość potrzebna bywa zazdrość cudza,  
Do lepszego czynienia często ta pobudza:  
Wirgili Mewijusza, Racine miał Pradona,  
Stary Homer Zoila, a Wolter Frerona.  
Skrytych plotek i słabych żartów się nie boję,  
Z niedołącznych zawiści drwinki sobie stroję,  
Z możniejszych, jeśli którzy na mnie niełaskawi,  
Czas i ziarno kadzidła wszystko to naprawi.

[1776/1777]

## OSTATNI WTOREK

Żebym miał być łańcuchem do ściany przykuty,  
Urwałbym się i jechał dzisiaj na reduty.  
Nie taniec mię tam zwabia; miłość nieszczęśliwa  
Pewnie mię swą srogością na nie nie przyzywa.  
Jedźmy jednak! Stój ze mną, przyjacielu miły,  
Tobie się me najskrytsze myśli wyjawily;  
Ty wiesz, jak o kim sądzę; ty mnie, ja znam ciebie:  
Chwałę, kto wart pochwały, ale nie pochlebię.  
Siądźmy tu, przypatrzmy się tym cudownym wzorom,  
Ich tańcom, ich chodzeniom, ich dzikim ubiorom,  
A z tych rozmaitości biorąc pochop śmiechu,  
Ucieszmy się prawdziwie godzinkę bez grzechu.

Otóż Turczyn... strój ci to i postęp Turczyna,  
Sułtana wspaniałego nawet wzrok i mina;  
Dobre to wszystko na dzień, ale w ciemnej nocy  
Nikt nic nie wart w seraju bez tureckiej mocy.

Huzar za nim, człek miły z figury i z duszy,  
Serca go otaczają, gdziekolwiek się ruszy;  
W łatwym umyśle jego jam też kiedyś gościł,  
Ale mi ten ponury gilbas pozazdrościł:  
Zwierz cichy, który to ma za zasługę całą,  
Ze nic nie znając gada i głupio, i mało.

Co za ścisk, oo za twarze! a każdy w tym tłumie

Na siebie oczy wszystkich obracać rozumie.  
A, jak się masz, kochanku, i tyś tu jest z nami  
Muskany kawalerze z słabymi piersiami?  
Jak cię ten tłok tak wielki dzisiaj nie zagniecie?  
Idź prędzej prawić jakiej płaszczyzny kobiecie!

...Ustąpmy się! niech mają miejsce te dwie panie.  
Teraz ledwie szanowny wzrok kto rzuci na nie;  
Ach! jakże się to z wiekiem czasy odmieniły:  
Przed dziesięcią latami wyście rej wodziły!

...Obróć koło nas kroki swe, Hiszpanko żywa!  
W tobie i dowcip bystry, i grzeczność prawdziwa.  
Zrzuć maskę! nadto miła pod nią twarz się kryje:  
Rozum z sercem (co rzadko) przed nią czołem bije.

...Hałas jakiś... zapewne wąsał pełen wina  
Kłótnię o pierwszą parę lub o pannę wszczyna...  
Bynajmniej... Nowe maski wchodzi tak wesoło.  
Oj, żebyśmy się mogli jak dostać w te koło!

Co za tłok! przejść nie można, pcham się sobą  
[całym:  
Jakie to jest nieszczęście być ślepym i małym!  
Ach! przecie... Dzięki tobie, mospanie wysoki,  
Żeś mię raczył przed siebie puścić na dwa kroki.  
Będę wielbił twą względną grzeczność, bo inaczej  
Nie widziałbym tych masek i byłbym w rozpacz.

...Któż poprzedza? Księżniczka... dziękujmy naturze,  
Ze nam tę doskonałość dała w miniaturze.  
Jak się w tak małym ciele tyle wdzięków mieści?  
Będzie to swego czasu mały dziw niewieści,

A wstępując w matczyne ślady, słane różą,  
Tak podchlebne zawiązki czego nie wywróżą!

Sześć par widzę, a wszystkie i hoże, i ładne;  
Suknie ich są gustowne, strojne i paradne.  
Tę słodkość ujmująca, cudna świeżość lica,  
Tę zaś dowcip przenikły i piękność zachwyca,  
Tę jeszcze wiek dziecinny miłszą oku czyni;  
Na końcu matka – wdzięków i gustu mistrzyni.

...Już po wszystkim... Idźmy stąd, bo znowu na nowe  
Tany się zaczynają, widzę, narodowe,  
A mnie to nic nie bawi, że kto z tego tłoku  
Pójdzie za łby o taniec lub weźmie po boku.

Teraz się przecie między szczęśliwszymi liczę,  
Gdy twoje, Amazonko, oglądam oblicze.  
Twe oczy są twym łukiem, strzałami – twe wejrzenia,  
I sposobu przed nimi nie masz ucieczenia,  
A jeśli się kto śmielszy na cię porwać waży,  
Czujna zazdrość przy twoich wdziękach jest na  
[straży.  
Idź sobie, a daremnie myśli mych nie drażnij;  
Za cząsteczkę nadziei – trzy części bo jaźni!  
Już jej nie masz i świece po lichtarzach gasną;  
Muzykanci nad graniem ledwie co nie zasną.  
Jedźmy stąd!... Sny łaskawe, bądźcie na pomocy  
I, czegom w dzień nie zyskał, nadgródźcie mi w nocy!

[Wnet po 10 lutego 1777]

DO KSIĘCIA

KAZIMIERZA P O N I A T O W S K I E G O

Pomiędzy gromadą wieńców  
I ten dla ciebie zakwita,  
Za którym naszych młodzieńców  
Chęć się ubiega niesyta.

W pośrodku twojej jesieni  
Wiosenne rosną ci kwiaty;  
Każdy się z wiekiem odmieni,  
Tyś ten sam, co i przed laty.

Wdzięczna Miłość, co ze statkiem  
Ma czciela w twej osobie,  
Bawi szybki Czas ukradkiem,  
Żeby nie myślał o tobie.

Umiesz trzymać więzy miłe,  
Które na cię Piękność wkłada,  
I choć Miłość traci siłę,  
Przyjaźń w tobie nie upada.

Ty jeden masz talent rzadki,  
Że i w nowej przeniewierce  
Przez niewidziane przypadki  
Dawnym wierne trzymasz serce.

Nie rozumiem, by w tę chwilę

Inna cię ponęta zwiodła:

Nadtoś się uwikłał mile,

By cię nowa żądza bodła.

Jej wdzięki pewnym zakładem,

Że twa miłość jest stateczna.

Rad bym, by twa tym przykładem

Przyjaźń dla mnie była wieczna.

[1777?]



## SEN PIERWSZY

### ŻONA

Patrz no, czym się nie odmienił?  
Dzisiem się przez sen ożenił.  
Ach, bracie, jaka wygoda  
W pierwszych nocach żona młoda!  
Pomyśl sobie tylko, proszę,  
Jakie mogą być rozkosze!  
Aż mi jeszcze idzie ślina:  
W piętnastu leciech dziewczyna,  
Na twarzy z różą lilija,  
Gębusia *a la* Davia;  
Oczy duże, żywe, czarne,  
Miłe, lubieżne, figlarne;  
Usta świeże, ząbki czyste,  
Piersi twarde i toczyste;  
Rączka pulchna, nóżka mała,  
Wszędzie równa piękność ciała.  
Zważ, czym się tego nie chwycił?  
I pókim się nie nasycił,  
Starąłem się robić dziwy:  
Nigdy syty, zawsze chciwy.  
Osobliwszą jakąś mocą  
Dzień był u mnie nawet nocą,  
A choć w najdłuższej ciemnocie,  
Nie zbywało na ochocie.

Lecz z czasem ustały siły,  
Te igraszki się sprzykrzyły:  
Żona była jeszcze młoda,  
W samym kwiecie jej uroda,  
Huk się gachów o nią kręci,  
A ja nie mam do niej chęci.  
Rzekłem; „Odpowiem przed Bogiem,  
Jeśli ją puszcę odłogiem  
I przez jakie sentymenta  
Dam zakopać jej talenta.  
Nie jestem z siebie bogaty,  
Będę z niej ciągnął intraty;  
Żaden ubóstwem nie tyje,  
Każdy z tego, co ma, żyje.”

Skórom się pozbył zazdrości,  
Nawał zaraz miałem gości;  
Przybywali w dom mój różni:  
Czuli, fircyki i możni.  
Żona z każdym była grzecznie:  
Czuli wzdychali serdecznie,  
Fircyki mi się chlubili,  
A bogaci zaś płacili.  
Sprzyjało szczęście łaskawe:  
Miałem dusie i zabawę,  
Ani mi zmieszały szyków  
Żarty drwiarzów, złość języków.  
Zawszem na to mówił: „Przecie  
Trzeba coś znaczyć na świecie.”

Ach, jak błędzą lata młode!  
Do czasu dzban nosi wodę,  
Wszystko z tym czasem ustawa.

Przyszła ospa niełaskawa:  
Groźnej jej zlekły się ręki  
Śmiechy, umizgi i wdzięki;  
Znikła krasa, a z nią w szlaki  
Wyniósł się też jaki taki.  
Dali nam na miejsce swoje:  
Zwady, gniewy, niepokoje.  
Poszły z wiatrem wszystkie zbiory:  
Dary, grzeczności, honory.  
A moja kochana żona,  
Pańsko żyć przyzwyczajona,  
Wkrótce zjadła swoje grosze  
I mnie skubała po trosze.  
Obu nas czekała nędza;  
Szedłem czym prędzej do księdza.

„Mój ty wielebny prałacie,  
Tuszę, że mi rozwód dacie.  
Oto mam przyczyny słuszne:  
Tak cielesne, jak i duszne.”

„Pojmuję – rzekł – twoje żądze,  
Ale maszże ty pieniądze?  
Nie dają się tak rozwody...  
Trzeba mi zapłacić wprzódy.”

„Niech się prałat upamięta,  
Oto są impedimenta...”

„To są tylko wszystko drwiny;  
Bez dusiów – nie ma przyczyny.”

Jam prawil moral z mej strony,

Lecz on był nieporuszony:

Z gniewem prośby me odrzucił,  
Jam się tymczasem ocucił.

[Na krótko przed 30 lipca 1777]

## SEN DRUGI

### POTOK

Spadał potok wielkiej mocy  
(Dziś mi się to śniło w nocy)  
I wiatr go z deszczem nadymał.  
Prosiłem go, by się wstrzymał.

Szumny naglej burzy płodzie,  
Hamuj twe nurty spienione;  
Pozwól mi miejsca w twojej wodzie,  
Bym mógł przejść na drugą stronę.

Chlorys moja ukochana  
Ma się tam znajdować z rana.  
Niecierpliwość mi doskwiera,  
A twa woda jeszcze wzbiera.

Pomnę, że przed burzy przyściem  
Sączyłeś się, strumyk lichej,  
I gałązka swoim liściem  
Wstrzymałaby twój bieg cichy.

Teraz, deszczami nabrzmiały,  
Toczysz swój impet zuchwały  
I twa zapomnialość głucha  
Głosu mojego nie słucha.

Ciesz się wielkością mniemaną:  
Zniknie ona jak sen płochy,  
A gdy powodzie ustaną,  
I twe koniec wezmą fochy.

Wtenczas dopiero z pogardą  
Przeskakując twoje łoża  
Rzeknę: „Z każdą głową hardą  
To się stać łąniuchno może.”

[Na krótko przed 31 lipca 1777]

## SEN TRZECI

### KOLASKA

Nie z potrzeby, ale z mody  
Leciał pędem panicz młody;  
Konie się z biegu pieniały,  
On ich ćwiczył co miał siły.

„Umykajcie – wołał – z drogi!”  
Straszył kijmi i batogi,  
I ten w oczach jego grzeszył,  
Kto na stronę nie pospieszył.

Już to wielką świadczył łaskę,  
Kiedy skierował kolaskę;  
O włos dziada nie przejechał  
I z przekąsem się uśmiechał.

Pędził dalej, jam rzekł cicho:  
„Będzie jemu kiedy lichy;  
A wszak nie dojdzie miesiąca,  
On tu wszystkich poroztrąca!”

Ale gdy tak zawsze leci,  
Z strachem starców, bab i dzieci,  
Kędyś tam na Nowym Świecie  
Zawadził o kamień przecie.

Pękły osie u karocy,  
A on wyleciał jak z procy  
I od tej modnej swywoli  
Jeszcze mu bok dotąd boli.

[1777]



## DO ŁUBIEŃSKIEGO Z WIEŻY

Z puszczyków i sów mieszkania  
Na piękny świat pisać trudno:  
Ustawiczne narzekania  
I czytać, i pisać nudno.

W podłym ludzi niskich tłumie  
Przyzwoite losy winić;  
Filozof skarżyć nie umie,  
Umie tylko dobrze czynić.

Umie temu, co go gubi,  
Wzgardziwszy, winę darować;  
Ani się z uczynku chlubi,  
Ani go też chce żałować.

Niechaj mi już nikt nie głosi  
Te modele łaskawości;  
Choć ich na pozór przeprosi,  
Kryjomo wyrządzą złości.

Ty, co moim nieprzerwanie  
Byłeś przyjacielem wszędzie,  
Niech ci świadkiem to pisanie  
Mej wdzięczności wiecznym będzie.

Nie będę ja ci tu kadził

Przypodobania się celem;  
Dwieś rzeczy rzadkie zgromadził:  
Pocziwymś i przyjacielem.

[Październik 1777]

## DO PISARZA POTOCKIEGO

### O ŚMIERCI SYNA JEGO

Dawniej prorocy przyszłość zgadywali przecie,  
Dzisiaj nikt nie przepowie odmiany na świecie,  
Jednak – czy Twórcy mocą, czy dziełem Natury –  
Wszystko się przewróciło nogami do góry:

Nie śmiać się – chociaż się chce, nie płakać – choć  
[boli;

Zniesiono nieuważnie potomków Lojoli;  
Na nieszczęście sąsiadów król Borusów żyje;  
Niemiec się za Anglików w Ameryce bije;  
Dla mody monarchowie po krajach się włóczą;  
Francuzi co dzień nowych systemów się uczą;  
Polak cierpi i płaci; wzdęta wiatry Newa  
Cofa się i szkodliwie w miasto się rozlewa;  
Horacyusza major wojsk pruskich tłumaczy;  
Dorant się już nie pyszni ani się junaczy;  
Harpagon bale daje, paraduje, szumi  
I naszych elegantów bodaj nie zatłumi;  
Tymanta chęć honorów i bogactw nie łechce;  
Węgierski już nikomu prawdy mówić nie chce,  
Już tylko na pochwały usta swe otwiera;  
Tobie syn niespodzianie tak młodo umiera  
I kiedy w czułym sercu rodziców żal sieje,  
Bierze z sobą do grobu narodu nadzieje.  
Jeżeli śmiertelnikom wolno czynić wnioski,  
Przyzwoitsze daleko nam niż tobie troski:

To dziecię, pod roztropnym chowane dozorem,  
Mogłoby się stać kiedyś narodu honorem  
I dziedzicząc przymioty przez pomyślne spadki  
Wzięłoby rozum z ojca, gust z wdziękami matki,  
A mając co dzień w domu przykłady szczęśliwe  
Miałoby umysł stały i serce poczciwe.  
Umarło, gdy mu takie los dary udziela,  
Bo Polsce nie jest wolno mieć obywatela.

[Listopad 1777]

## LASEK

Zarzekłem się prawdy mówić,  
Będę sobie pisał bajki.  
Już mię też nie potrafi nikt za słówko złowić,  
Nie rozgniewam kokietki ni wstrętnej niedajki.

Bo mię też diabeł sam musiał odurzyć!  
Nikt mię do tego nie pędził,  
Ażebym prawdę gawędził,

Gdy pożyteczniej jest kadzidło kurzyć.  
Ale się uspokójcie, już tego nie będzie:  
Odtąd wszystkich będę chwalił,  
Do wszystkich perory palił,  
Jak bernardyn po kolędzie.  
Przedtem mię to kosztowało

Niesprawiedliwą dać pochwałę komu;  
Na to uważałem mało,  
Że kto brał zaszczyt z wysokiego domu,  
Ale każdy, mędrszy z wiekiem,  
Sposób myślenia odmieni  
I tego wielkim być powiada człkiem,  
Kogo wewnątrznie nie ceni.

Na jednej wielkiej łące  
Wzrastał sobie gaik młody;  
Choć liczył drzewek tysiące,  
Nie wszystkie jednakowej mogły być urody.  
Były jedne,

Których natura prostym wzrostem obdarzyła;  
Drugie biedne,  
Które krzywo potworzyła,  
Były sosenki garbate  
I olszynki sękowate;  
Rzadko dąbka było widać,  
Co by się mógł na co przydać.

Pan tego lasku był tokarzem pono;  
Przyszedł raz drzewka wybierać:  
Robić mu laskę zlecono,  
Którą się wiek sędziwy kiedyś miał podpierać.

Wszedł w gaik: dąbki, proste i hoże,  
Co się wartymi tego honoru sądziły,  
Ani mu się ukłoniły,  
Wiedząc, że ich los taki ominąć nie może.

Ale te drzewka, co były krzywemi,  
Schyliły się aż do ziemi;  
„W twojej mocy – rzekły – panie,  
Dziś jest nas na pniu zostawić  
Czyli przez twoje staranie  
Szczęścia naszego poprawić;  
Ale jakkolwiek rozrządzisz,  
Pewnie nigdy nie pobłędzisz.”

„Nie daj się uwieść tą mową obłudną –  
Rzekły mu dąbki szczerze. –  
Między nami wybór ci uczynić nie trudno  
W tej mierze;  
Twój ci pokaże rozsądek,  
Które się z nas zda na laskę,  
A gdy w tym przyzwoity zachowasz porządek,  
Powinność swą uczynisz, a nie żadną łaskę.”  
Rzadko się komu ambit szlachetny podoba,  
Rzadko prawdziwą zasługę kto ceni;

Z mocą czynienia dobrze chęć się rzadko żeni,

Niejedna tego dowodem osoba.

Tokarza ten ton obruszył;

Pochlebłą sosen ujęty przemową,

Uciął jedne ze pnia zdrową

I do roboty ją suszył.

Zaraz ci ją ściąwszy zoczył,

Że mu się ten kij nieraz będzie krzywić,

Ale każdy swój wybór chce usprawiedliwić

I on z niej laskę wytoczył,

Lecz mu się na nic nie zdała,

Bo się na sęku złamała.

Dąbki zaś w cudze ręce się dostały:

Laskami je porobiono

I niedawno mi mówiono,

Że niejedno na świecie ramię podpierały.

[Listopad 1777]

JĘDRZEJOWI ZAMOYSKIEMU  
NIEGDY KANCLERZOWI KORONNEMU  
W DZIEŃ IMIENIN JEGO

Komu naród układu praw swoich powierza,  
Kto szacunek publiczny zasługą wymierza,  
Kto umie złożyć urząd tak jak go sprawować,  
Temu może Węgierski imienin winszować.

Nie żądam, byś był więcej niż jesteś szczęśliwym:  
Pierwsze szczęście – umieć być zdatnym i cnotliwym;  
Ni ci nader długiego życzyć będę wieku:  
Nieraz swą sławę przeżyć zdarzyło się człeku.

Jeśli prawda, że jest Ktoś, co rządzi Niebiosy,  
Powinien przecie umieć szanować twe losy.  
Czegóż by była nasza łatwowierność warta,  
Gdyby skutkiem nadzieja nie została wsparta!

Ktokolwiek światem włada – Bóg czy Przyrodzenie –  
Jedno tylko mam do nich dla ciebie życzenie,  
Gdy szczęścia nasze od twych nowych praw zawisły:  
By cnotę wlać raczyli w Polaków umysły.

Nie jestem z tych, co przyszłość malują szczęśliwą;  
Przeszłe dzieje boleścią rażą mię dość żywą:  
Częstom widział na sejmach zgromadzone stany  
Interesem z słabością miotane w przemiany.



Darujcie mi, kochane Sarmaty, raz jeszcze,  
Ze niedobrze po waszych sercach sobie wieszczę.  
Znasz to już doskonale, nieszczęsny narodzie,  
Żeś się nadto w nagannej zakochał swobodzie.

Chce król twojej poprawy, chcą ludzie poczciwi,  
Ale się temu pycha z chciwością przeciw!:  
Ten, co bezkarnie człeka wypędzi, zabije,  
Rad jest gardzić prawami, pod którymi żyje!

Lecz może głos cnotliwy przeważy u ludu,  
Może się Polska teraz doczekała cudu,  
Ze rozeznane prawa przez ciebie pisane  
I przyjęte zostaną, i będą słuchane?

Zagrodź drogę pieniactwu, tej stugłowej hydrze:  
Niechaj mi mej własności odtąd nikt nie wydrze  
I niech się nikt z tym więcej w sądzie nie odzywa:  
„Ta sprawa jest nieprawna, chociaż sprawiedliwa.”

Zakwitną twe ustawy; ja, żyjąc pod nimi,  
Będę cię wielbił wszędy ustami moimi  
I potomkom pomiędzy największymi dziwy  
Skazywał cię: „Oto jest Polak sprawiedliwy!”

Teraz, kiedy mię wszystko od wierszów odwodzi,  
Możnego mi występku tykać się nie godzi,  
A w pospolitych ludzi niezliczonym tłumie  
Nikogo chwalić szczery język mój nie umie.

To sobie za największą poczytuję sławę,  
Kiedy mi przyznać raczą rmysły łaskawe,

Że gdy gniew nieprzyjaciół jad swój na mnie sącył,  
Pochwalam Zamoyskiego pisać wiersze skończył.

[Na 30 listopada 1777]

DO AUTORA WIERSZY MOICH  
BRONIĄCEGO  
[DO JÓZEFA WYBICKIEGO]

Ktośkolwiek jest, coś skrycie w przychylnym mi rymie  
Przedsięwziął tak skutecznie bronić moje imię,  
Odkryj się! Wszak nie będziesz wstydził się swej ręki?  
Niechaj wiem, komum winien i wdzięczność, i dzięki.  
Rzadko los nieszczęśliwym w gniewie swym udziela  
Takiego, żeby śmiał ich bronić, przyjaciela.  
Często oziębła przyjaźń mniej czyni, niż może:  
Sto nas ludzi żałuje, żaden nie wspomůže.  
Ten jednak takiej doznać mógł najlepiej próby,  
Kto miał nieszczęście możne rozgniewać osoby:  
Słabe z nimi umysły i czeladka podła  
Będzie mu doskwierała i będzie mu bodła,  
I ten motłoch, co ledwie godzin jest spojrzenia,  
Będzie się z zacniejszego urągał stworzenia.  
Tak kiedy lew ogromny wskroś strzałą przeszyty,  
Swym zgonem trwożąc zbójcę, wyzionie jelity,  
Jeśli już w nim nie czuje dzielnej krwi gorąca,  
Gnuśny osioł go swoim kopytem potraça...  
Lecz po co nad tym celem zastanawiać pióro?  
2e żyją ludzie tacy, tyś winna, Naturo!  
Tyś winna, że wydając nikczemne istoty  
Dopuszczasz najzacniejsze kazić tve roboty.  
Ja, póki ten ród będzie, zawsze sarkać muszę:  
Jeśli chcesz, żebym chwalił, pokaż wielką duszę!

[1777/1778]

DO FRANCISZKA WOYNY  
SZAMBELANA JEGO KRÓLEWSKIEJ MOŚCI

Pragnąłeś pieśni ode mnie,  
Nie spełnię twego żądania.  
Przyjm tę odmowę przyjemnie:  
Nie mam ochoty śpiewania.

Czas i przeciwność okrutna  
Odstraja lutni mej struny.  
Zewsząd dla mnie przyszłość smutna:  
I miłości, i fortuny.

Tobie się szczęście uśmiecha  
I miłość praw twoich słucha;  
Twe serce darmo nie wzdycha  
I Król ci pozwala ucha.

A kiedy losu wymiarem  
Same mi chęci zostają,  
To dla mnie niemałym darem,  
Że ci wyroki sprzyjają.

[1778?]

DO ALEKSANDRY  
Z LUBOMIRSKICH POTOCKIEJ  
W DZIEŃ JEJ IMIENIN

Dzikaż to rzecz jest grzeczne kobiety,  
Kobiety rozumne, zacne:  
Szlachetne wprawdzie są ich zaszczyty,  
Lecz ich pochwały niełacne!

Gdybym dziś której Kasztelanowej  
Musiał obchodzić dzień święty,  
Składałbym rymy nie łamiąc głowy,  
Zapałem wzgardy zajęty.

Pięknie by dla niej było powiedzieć:  
„Życzę uprzejmie Jejmości,  
Żeby Jegomość mógł w Radzie siedzieć,  
Choć pełen głupstwa, podłości.

Żeby po stokroć w przeciągu roku  
Mógł świętą złamać przysięgę,  
A za nieprawę danie wyroku,  
Wart kary, otrzymał wstęgę.

Żeby szukając zysków, nie chluby,  
Świadomy szalbierskiej sztuki,  
Pomimo płaczu bliźnich i zguby,  
Wyrabiał sobie kaduki.

Żeby do śmiesznych użyta braków  
Gorliwość jego nieszczera,  
Panosząc obcych, krzywdząc rodaków,  
Dała mu imię Neckera.”

Te mając źródła płynnej wymowy  
Trudu bym w rymach nie znosił;  
Żeby podchlebić Kasztelanowej,  
Przestępstwa męża bym głosił.

Lecz, Pani, twoich pochwał wyrazy  
Przykre są i niewygodne,  
I trzeba zaraz krócić pegazy,  
Chcąc myśli ciebie mieć godne.

Na twe wzgląd mając sprawy i cnoty  
Wnet tkliwość człowieka wzruszy,  
A chcąc twe wszystkie wielbić przymioty,  
Rozumu trzeba i duszy.

Wy więc, o sławne córki Pamięci,  
Co te łączycie udziały,  
Stosując pienia moje do chęci,  
Raczie me zdobić pochwały!

Nie głosem, jakim na sejmach krzyczą  
Kasztelanowie smutni,  
Lecz dajcie brzmiącej z wdziękiem, z słodyczą,  
Anakreontowej lutni.

A gdy już skończą wesołe strony  
Ślubione wdziękiem jej pienia,

Niech poważniejszym głosem uczony  
Febus me wesprze wielbienia,

Nie szukam ja tu rodu wywodów,  
Boby to wzięła za żarty;  
Plemię to idzie z różnych narodów:  
Imię ma z Polski, krew z Sparty.

Mijam jej skromność, jej obyczaje,  
Każdy jej chwałę w tym przyzna,  
Lecz co jej chlubę Spartanki daje:  
Wolność i święta Ojczyzna.

Z niezmiennym Polki obliczem znoszą,  
Że los ich naród uciska;  
Jej umartwienie i żal przynoszą  
Smutne ojczyzny zwaliska.

Niewiele ceni hołd mężczyzn tkliwy,  
Co sam wdzięk wielbi niewieści,  
Lecz kto jest doli kraju życzliwy,  
W pięknym się sercu jej mieści.

Gorliwa Polka, matka starowna,  
Synowi ślady toruje;  
Jak przodków sława każe szanowna,  
Tak młody umysł wzoruje.

Uczy poczytać cnotę za bóstwo,  
Śmiać się z fortuny dziwactwa;  
Więcej szanować zacne ubóstwo  
Niż źle nabyte bogactwa.

W najwyższym srogich losów ucisku  
Obywatelem być zawdy;  
Dla marnych ozdób podłego zysku  
Serca nie przędać ni prawdy.

Cieszyć będących w smutnej przygodzie,  
Zapędy dumy hamować;  
Poważać równość w wolnym narodzie  
I tylko cnotą górować.

Śmiałymi usty wynurzyć zdanie,  
Które sumienie wskazuje;  
Tym przyjaźń oddać i obcowanie,  
Których się umysł szacuje.

Czarne bezecnych Sejanów czyny  
I brzydkie gromić fortele;  
Gnębić Werresy, gnieść Katyliny,  
A naśladować Marcele.

Tak chowan, dzielne wróci nam męże,  
W Annibala idąc ślady:  
Wiecznie ojczyznę kochać przysięże,  
A nie przenosić sąsiady.

Matki! niech wzór ten w was ducha wznieci  
Obywatelek przykładnych:  
Lub takie dajcie ojczyźnie dzieci,  
Albo nie dajcie jej żadnych!

Podłość, podległość, niedbanie chwały,  
Wady wyniosłej obludy,  
Te, ach te! dolę naszą zrównały



Z niedolą wygnańców Judy.

Niegdyś u świata zazdrości celem  
Był Polak z wolności hardy;  
Przestał być wolnym obywatelem –  
I stał się celem pogardy.

[Na 3 maja 1778 lub 1779]

## DO KSIEDZA TOMASZA WĘGIERSKIEGO

Mówiono mi, i mocnom się z tego radował,  
Żeś śmiało w ślady dobrych poetów wstępował.  
Jak mi się mało zdarza widzieć i jak rzadko  
Tych, którzy by rozsądnie pisali i gładko!  
Tyle w Warszawie nudnych jest wierszy, że jeśli  
Prawda, co mi o tobie znajomi donieśli,  
Winszuję ci i radem chętnie o tym wiedzieć,  
Żeś wart między lepszymi na Parnasie siedzieć.  
Wiem, że pierwsze przepisy starasz się zachować,  
Bez czego nikt w tej sztuce nie będzie celować;  
Ze w krótkich słowach myśli wspaniałych masz wiele;  
Ze słuchasz, gdy ci dobrze radzą przyjaciele;  
Żeś zwięzły, żeś nie twardy, nie dęty, nie podły;  
Ze cię nigdy błyskotki dowcipne nie zwiodły;  
Że cię każdy rozumie, że masz smaku tyle,  
By cię nawet kobiety mogły czytać mile;  
Że w swoich wierszach nie masz słów czczych  
[i składanych,  
Ani gwałtem do sensu rymów naciąganych.  
Jeżeli więc tak piszesz, słusznie w Ukrainie,  
Na Podolu, Wołyniu imię twoje słynie.  
Lecz, powiedz mi, jakie stąd możesz mieć korzyści?  
Trochę pochwał, a więcej pewnie nienawiści.  
Żebyś się był nad brzegiem urodził Sekwany,  
Byłbyś pewnie na świecie uczonym poznany:  
Dzieła twe, w holenderskich wybite drukarniach,

Po wszystkich by się zaraz rozeszły księgarniach,  
Kupiłby cię uczony, by się z tobą bawił,  
I głupi, by się w rzędzie rozumnych postawił.  
Ale gdy cię pomieszał los między Sarmaty,  
Przez swój tylko znajome nierząd i przez straty;  
Jakież stąd obiecywać sobie możesz zyski,  
Chociażbyś na Parnasie stopień miał nie niski?  
Dobrze to wiersze pisać, ale rzadko przecie  
Choć najlepszy poeta znaczył coś na świecie  
I w tej niepolicznej wierszopisów kupie  
Tyś jeden najszcześniejszy, Smoleński Biskupie!  
Ty się zaś, kanoniku, nie możesz spodziewać,  
Żebyś sobie pastorał mógł kiedy wyśpiewać.  
Porzuć Apollina i, z większym honorem,  
Stań się jakiej piękności dusznym dyrektorem  
Albo, jeśli się sądzisz jeszcze nader trwałym,  
Staraj się wdziękom jakim podobać zdawniałym.  
Cięższa trochę powinność, przykrzejsza jest praca,  
Lecz się rzucone ziarnko stokrotnie powraca:  
Wkrótce zmienisz w fiolet czarną rewerendę,  
Porzucisz dla biskupstwa ubogą prebendę,  
A co dzień coraz w wyższe wynosząc się sfery,  
Będziesz zalegał krzesła i dźwigał ordery,  
I na starość, w lubieżnym spoczawszy seraju,  
Pójdiesz jak święty biskup prosto stąd do Raju.  
Nam świeckim nie uchodzą wcale takie żarty,  
Zaraz by nas w moc swoją zagarnęły czarty,  
Lecz wy, co z Panem Bogiem co dzień rozmawiacie,  
Co Go co dzień pijecie i co dzień zjadacie,  
Łacniejsza wam z Nim zgoda. Aleksander Szósty  
Wam wszystkim te pomyslnie wyjednał odpusty:  
Gdyby księdza którego Bóg chciał sądzić ostro,

„Nie sypiałem z mą córką<sup>3</sup> – rzekłby – ani z siostrą,  
Zięciówem nie zabijał, monarchów nie wadził –  
Za cóż byś mię choć przy nim w niebie nie posadził?”  
Nie masz co na to mówić i upewniam ciebie,  
Ze możesz żyć, jak zechcesz; będziesz pewnie w Niebie!

Te są rady, mieszkańcze dzikiej Ukrainy.  
Rad byś ze stołecznego miasta mieć nowiny,  
Lecz nie wiem wcale, co bym ci miał donieść, wszak ty  
Znasz naszych panów, kiedy jadą na Kontrakty:  
Ich dusze, ich spodobność, podłość i przymioty,  
Na fraszki niepotrzebne niezmiernie szczodroty;  
Skąpi na dobro, pragną sprzedaż honoru  
Wesprzeć smutne ostatki straconego zbioru.

A uczone obiady? Znasz to może imię,  
Gdzie połowa nie gada, a połowa drzemie;  
W których Król wszystkie musi zastąpić ekspensa:  
Dowcipu, wiadomości i wina, i mięsa.

Od Bałtyckiego morza ku śnieżystym Tatrom  
Wiedzą, że pan Bielawski otworzył teatrum  
I słusznie się tym chełpi zaszczytem niezmiernym,  
Ze był pono natenczas, jak mówią, odźwiernym.

Gmin ubogich autorów na warszawskiej scenie  
Krzywdę czyni Taliji, hańbę Melpomenie.  
Jeden z nich, co przez długi czas swą wenę chował,  
Mówią, że nową jakąś sztukę wygotował.  
I z tego na zabawę potrafić korzystać:

---

<sup>3</sup> \* Aleksander VI, papież, publicznie żył z córką swoją Lukrecją, którą trzem mężom wydarł, zabić ostatniego kazał (Alfonsa d'Arragon), chcąc ją wydać za dziedzica domu d'Este. Wesele to obchodzone było w Watykanie z najobrzydliwszą lubieżnością, jaką tylko rozwiązłość wymyślić może. Pięćdziesiąt nagich lubieżnie tańcami tę niegodziwą familią bawiło i rozdano nagrody tym, które swawolniejszym poruszeniem inne celowały.

On nas trochę ponudzi, my możemy wyświstać.

Pełny śmiesznych konceptów, pocieszny Łuskina  
Fanatyzmu nam jeszcze czasy przypomina.  
Za to, że jezuitów wyrokiem obala,  
Zły na Ganganellego, szkaluje Pombala  
I będąc w ostrzeżeniu każdej wady pilnym  
Powiada, że choć papież, Klemens był omylnym.

Nowe w naszym parterze porobił niesnaski  
Los najlepszej aktorki, pięknej Truskolaskiej,  
I pewny się tym chełpił najwięcej honorem,  
Ze mógł być choć raz w życiu zwany protektorem.

Piękne nasze kobiety, pochwał z wszech miar godne,  
Tego roku nadzwyczaj zdrowe są i płodne.  
Co dziwniejsza, iż świat się cały na to godzi,  
Ze się w tej liczbie cudze dziecko nie urodzi.

Mając od zabaw czasu wolnego kawałek  
Byłem u pana Lexa w przeszły poniedziałek,  
Ale nie wiesz, kto on jest? Oto ten jest, który  
Otworzył nam Gabinet tu Literatury.  
Cały czas się przede mną i żalił, i zgrzytał,  
Że tam każdy więcej pił aniżeli czytał.

Rad bym, by cię te wszystkie nowiny bawiły,  
By ci pożytecznymi moje rady były,  
Nie myśl jednak, bym cię chciał od wierszy odwodzić:  
Pisz, gdy możesz z fortuną Apollina zgodzić.  
Pierwszy będziesz podwójną szczycił się zaletą,  
Żeś był i dobrym księdzem, i dobrym poetą.

[Wiosna 1778]

## NA WJAZD DO WARSZAWY SENATORA

Nie chlub się swoją wspaniałością, Rzymie,  
Kiedy do ciebie wjeżdżał władca świata,  
Coś piękniejszego opiewam w mym rymie:  
Wjazd pana z panów do nas tego lata.  
Więcej ludzkości znajdziesz w tym pośpiechu;  
August nabawił płaczu, a ten... śmiechu.

Rok minął jako pożegnał stolicę,  
Zabrawszy z sobą powagę senatu,  
By nią zaszczycił dalsze okolice,  
Mądrość swą poznać dał całemu światu,  
I gdy tu wszystko znikczemniało prawie,  
Gust, świetność z sobą przywrócił Warszawie.

Pięknyż to widok, gdy głowa w kołpaku  
Sobolim wzgląda z poszóstnej karocy:  
Z rzeźwego, chociaż głodnego orszaku  
Harcuje każdy całą resztą mocy;  
Pilnie swą scenę pełni w owym czasie,  
Co miał zleconą sobie na popasie.

Niespracowany senator, choć w drodze,  
Dźwiga na sobie swej godności znaki:  
Wstęgi na piersiach, ledwo nie na nodze;  
Opończa nawet wydaje kto taki,  
U której gwiazda świeci się na boku;  
Z teźże go poznać w nocy, choć w szlafroku.

Że życie jego ojczyźnie należy,  
Baczny pan pierwej ponad mostem stawa,  
Aż wprzód wierzchowiec tam i sam przebieży,  
Doświadczy, czyli bezpieczna przeprawa.  
Czekać też trzeba było z pół godziny,  
Nim nadciągnęły z mażami słoniny.

Gdy tak pozbierał swoje karawany  
I napasł oczy ludzkie z tamtej strony,  
Jedzie na drugą, w powagę przybrany,  
Noga za nogą, dla zdrowia ochrony.  
Aby zaś konie poważnego kroku  
Nie rwały, trzy dni nie jadły obroku.

Wielka rzecz umieć łączyć gust z wygodą:  
Tak pan nasz dobrał poczet z bisurmanów,  
Dzidki z jeżami niewidzianą modą  
Noszący, czego żaden nie miał z panów,  
I gdy pod górę końskie mdlały nogi,  
Jeże służyły na miejsce ostrogi.

Najpierwsze w szczęściu Krakowskie Przedmieście,  
Co oglądało takiej pompy dziwy;  
Pan, nie chcąc czynić krzywdy ludzi reszcie,  
Na Nowe Miasto wiedzie krok leniwy;  
Stamtąd na Leszno, aż też, cztery rogi  
Zwiedziwszy miasta, zawitał w swe progi.

Księżna-małżonka, przykład czci niewieściej,  
Co sama jedna męża uczcić umie,  
Z gronem potomstwa na najpierwsze wieści  
Spieszmy spotykać go tam, gdzie rozumie,  
Lecz krążącego nim schwyciła w łapkę,

Długo musiała grać z nim w ciuciubabkę.

Cała Warszawa byłaby się zbiegła  
Z powinszowaniem uczcić przyjazd miły,  
Lecz pańska skromność w tym była przebiegła,  
Że bryki, maże przystęp zawałyły.  
Uwielbiaj i ty, Muzo, w skromnej mowie  
Wstęgi na brzuchu, a kołpak na głowie!;

[Jesień 1778]



## DO POPIOŁÓW KSIĘDZA WĘGIERSKIEGO

Jestestwa szacownego zbyt smutne ostatki,  
Wy zwłoki, dla których ja szacunek mam rzadki,  
Cóż dzisiaj nam śmiertelnym z wami czynić można?  
Opuszczać was – żalosna, zostawiać jest próżna.  
Więc, jak nam począć radzą te smutne koleje,  
Prawdziwy, nie dla oka, szacunek się dzieje,  
A chociaż śmiertelności uśpione snem wiecznym,  
Nie każe mi nieczułość tu być niestatecznym.

[1779?]

## NAPIS NA DOMKU

Na świecie z znajomymi, tu z przyjaźnią żyję.  
Kocham, ile sił starczy, miernie jem i piję,  
Od pustego fircyków odłączę hałas,  
Przegwizdywać ich nawet nie staje mi czasu.  
Szczuplejsza tu daleko zabaw moich sfera:  
Rozkosz mi prawie wszystkie momenta odbiera.

## INNY NAPIS

Śmiertelniku! o rozkosz masz się w życiu starać.

Nie wierz, by cię po śmierci miano za to karać.

W tym sposobie myślenia bądź jednak ostrożnym:

Pocziwemu jest tylko wolno być bezbożnym.

## NA ŚCIANIE LA GRANDE-CHARTREUSE

Ani Nieba nadzieja, ani Piekła trwoga  
Zmienić myślenia mego nie zdoła sposobu,  
Z ochotą bym tu jednak żył i wszedł do grobu,  
Gdyby mię kto nauczył wierzyć w Pana Boga.

[Kwiecień 1781]

## MORALIZACJE

### Z POEMATU „ORGANY”

(...) Czy ja bocian, aby  
Świat czyścić i krzykliwe z niego zbierać żaby?  
Lecz wytrzymać nie mogę; nie wiem, czym się dzieje,  
Z chęcią bym się urzędu podjął kaznodzieje,  
A machając rękami z wysokiej ambony  
Wrzeszczałbym: „Zaniechajcie niezgody szalonej!” –  
Potem zaś, treść najprostszą na trzy dzieląc części,  
Pismo i ojców świętych cytowałbym częściej,  
A po plagach, pamiętny lekcji rozlicznych,  
Wysypałbym gromadę figur retorycznych  
I niezgodę bym – za to niech mię nikt nie łaje –  
Do brzydkiej niedźwiedników równał szalamaje,  
A z dęcia dud niezgodnych chrapliwego dźwięku  
I z ruszania klawiszów od niezgrabnych ręku  
Biorąc pochop, wniosek bym czynił nieomylny,  
Ze u nas dla niezgody dobry rząd bezsilny.  
Potem, coraz się bardziej w mojej szerząc mowie,  
W dalszej dowodzić bym się postarał osnowie,  
Jak przez własne zawiści i szkodne niezgody  
Potężne w krótkim czasie upadły narody;  
Ze u nas osobliwie ta niechęć szalona –  
Namiętność jest na naszą zgubę ulubiona  
I że nas nie zgubiła żadna więcej jak ta.  
Jeśliby mi kto przeczył – manifest *ad acta*  
Zaniósłbym i przed nimi stawszy osobiście  
Fałsz bym przeciwnej stronie zadał oczywiście;  
A gdyby mi i za tym kto nie ustępował,  
Do przyszłego bym sejmu pewnie apelował.

## II

Gdybym był sobie królem, byłbym sprawiedliwym:  
Złych bym z dworu wyganiał, nadgradzał cnotliwym,  
Nie brałaby dostojęństw zasłudze intryga,  
Złe w tym kraju, gdzie obrót prostotę wyściga;  
Każdy bym dzień, jak Tytus, dobrodziejstwy liczył,  
Więcej szczęścia ojczyźnie niż sobie bym życzył,  
Nad próżnymi rzeczami czasu bym nie trawił,  
Nadaniem praw narodom słodkich bym się bawił.

A gdybym był biskupem lub oficjałem,  
O to bym usiłował staraniem niemałem,  
Żebym, sam z siebie przykład dając nader rzadki,  
Nie był nigdy zgorszeniem Chrystusa czeladki;  
Nigdy bym nic nikomu nie bronił drukować:  
Tym się w narodzie rozum może polerować;  
Ubogich bym wspomagał, w wydatkach był mierny,  
Ojczyźnie dobrze życzył, królowi był wierny.

Gdybym zaś był ministrem pokoju lub wojny,  
W bitwie byłbym rycerzem, a w Izbie spokojny;  
Dobre bym interesa skutecznie popierał,  
Za danie protekcji ludzi bym nie zdzierał.

A gdybym był uczonym lub za niego mianym,  
Nie przestałbym, że w izbie wiszę malowanym,  
Lub że zjem mądry obiad obok Majestatu:  
Pisałbym co i dowiódł niewiernemu światu,  
Że skądkolwiek zagadnie, z której chce, tknie strony,  
W prawie, w rymach i dziejach jestem nauczony.

Bym kiedy był małżonkiem, nie byłbym zazdrosnym:  
Zazdrość, każdy to powie, jest zwyczajem sprośnym,  
Zwłaszcza kiedy nie idzie komu o delfina,  
A ma jeszcze w zapasie niejednego syna.

### III

Wszystko tu nie do rzeczy na tym naszym świecie:  
Bogaty ubogiego ciemieży i gniecie;  
Cnota nie ma nadgrody, a występki kary;  
Stępione prawa patrzą na zbrodnie przez szpary;  
Kto sprawniejszy, to lepszy; poczciwość nie płaci;  
Talentem się nie wesprze człek ani z bogaci;  
Na urzędach intryga i kredyt osadza;  
Ten szczęśliwy, kto kradnie i ojczyznę zdradza.  
Jeśli się o to godni ludzie mówić ważą,  
Odpowiedź cała: że tak interesa każą.

Uwielbiam was i ukłon wybijam wam niski,  
Klęknę, jeśli zechcecie; będę się bił w pyski,  
Nie zgruntowani w rządach swoich politycy;  
Nie jest to dzieło słabej mojej mózgownicy  
Przenikać, co czynicie, bo w fryzurze więcej  
Macie rozumu niż jest w mej głowie cielejącej.  
Niechaj jednak z pokorą spytać mi się godzi,  
Czy to w dobrego rządu maksymy nie wchodzi,  
Ażeby ludzi godnych, wartych z każdej miary,  
Wasze łaski i hojne nie mijały dary,  
A tam się zaś bogatym nie gnieździły rojem,  
Kędy głupstwo przesiada z pysznym niepokojem?

Ale na co ja gadam i na co mózg suszę?  
Powiedzą mi: „Mój panie, radzi byśmy z dusze

Uczynić ci; znamy to, że masz talent rzadki:  
I prozą piszesz dobrze, i wiersz zrobisz gładki.  
Miej trochę cierpliwości, miły przyjacielu,  
Oto jeszcze od ciebie zasłużeńszych wielu;  
Prace trzeba nadgrodzić i ciężkie mokoły.  
Czekaj!”  
Czekam ci – zawsze jak goły, tak goły!

[1775–1776]



## **PRZEKŁADY I PARAFRAZY**

## Z GRECOURTA

### GOŹDZIK

Wdzięczny goździk na parterze  
Rozmawiając z bracią kwiatki  
Rzekł im: „Gdy pominąwszy róże i bławatki,  
    Jaka mię piękna pasterka wybierze  
I gors mną ozdobić raczy,  
Zapewne się tam wkorzenie  
I każdy z was to obaczy,  
Że mię nikt z tak miłego miejsca nie wyzenie.”  
„Jakiześ kwiatek kochany,  
Mój goździku cętkowany,  
Czegóż ci nie będę winna!”  
Rzekła doń młoda Korynna,  
Co tej rozmowy słuchała.  
Jak najprędzej go zerwała  
I tak grzecznego goździka  
Zaraz sobie za gors wtyka.  
    Mój kwiatek wszystek zapach wyziewa,  
Ale gdy ten wywietrzeje,  
Daremnie nowej mocy się spodziewa;  
W wieczór skona i zwiędnieje.

Słodka rozkoszy, ponęto miła,

Co życia mego kłopoty słodzisz,  
Zrób, by dostarczała siła,  
Kiedy tyle chęci rodzisz!  
L'Oeillet

## RÓŻA I LILIJA

Bajka anakreontyczna

Rzekła róża do liliji:

„Usiądźmy na twarzy czyjej.”

Radę tedy z sobą robią

I Chlorydy postać zdobią:

Jagody, usta, piersi kawałek nieduży

Były działem wdzięcznej róży,

Liii ja zaś resztę ciała

W swe panowanie zabrała.

Chociaż dostała tak wiele,

Zazdrosnym jednak okiem pogląda

Na to, co miała róża w podzielu:

Im więcej kto ma, tym więcej żąda.

By ją stamtąd rugowała,

Nagłej bojaźni wezwała:

O kochanego pasterza

Śmierci wieść bajeczną sieje.

Chloryda temu uwierzą

I z przelęknienia blednieje.

Lecz ta wieść była fałszywa:

Przyszedł pasterz, gdy się go Chlorys nie

[spodziewa

I czujne na bok oddaliwszy stróże

Lilije zamienił w róże.

Les Rosea et les Lis

## Z WOLTERA

### SZTUKA I NATURA

„Nie zrównasz dziełom mej ręki –  
Rzekła do Natury Sztuka –  
Piękność przez cię wydana mej pomocy szuka;  
Ode mnie biorą przyjemność twe wdzięki.  
Płeć skażoną przez ciebie odzywiam bielidłem,  
Ukrywam marszczki oblicza,  
Przeze mnie stara kwoka często jest pieścidłem,  
Jam dyktowała wiersz Naruszewicza.”  
Tak z Przyrodzenia Sztuka śmiała się najgrawać  
I świat chciał jej się poddawać.  
Na odpowiedź Natura Elżbietę stworzyła:  
Sztuka się ze wstydu skryła.

A Madame la marquise d'Usse

## NA PIERSI WIKTOSI

Pod białą szyją, która alabastr przenosi,  
Są dwa jędrne cyculki u ślicznej Wiktosi.  
Miłość je zokrągliwszy natchnęła rozkoszą:  
Raz się w siebie stulają, drugi raz się wznoszą.  
Ich czubeczek zawstydza swym kolorem róże,  
Swawolny przy nich leżeć spokojnie nie może,  
Bo swym ruchem rozżarza zakątki wstydlive.  
O! cyculki cacane, cyculki łechtliwie,  
Wyście zwabiły palce do was przyciskania,  
Oczy – do was widzenia, a usta – do ssania!

La Pucelle d'Orleans

LIST DO CZŁEKA ŁĄCZĄCEGO SMAK Z UMIEJĘTNOŚCIĄ  
I UMIEJĄCEGO CENIĆ UCZONYCH

Ty, co roztropnie łącząc potrzebne z przyjemnym,  
Z rozrywek do prac idziesz pośpiechem wzajemnym,  
Jak mi jest miło widzieć, że na twe staranie  
Początek swój nauki biorą i wzrastanie.  
Ty z każdą z nich obcując co dzień poufale,  
Kładziesz na równoważną ich szacunek szalę:  
Poważasz sprawiedliwie Melpomeny jęki,  
Lecz wesolej jej Siostry nie mniej lubisz wdzięki.  
W ręce bystrej Uranii kładziesz cyrkle złote,  
Dłuta, pędzla i smyczka chwalebna ohotę.  
Hojność twoja rozumna z skutkiem zagrzać umie,  
Do wszystkiego się skłaniasz, prawdziwy rozumie!  
Nadto nędzne i nudne życie ten prowadzi,  
Kto tylko w jednej rzeczy cały smak posadzi:  
Ledwie z suchej nauki dziki algebrzysta  
Tyle po ciężkim głowy łamaniu korzysta,  
Że wie ledwie, co mu rzeki nauczyciel szczery,  
Iż szesnaście do ośmiu są jak do dwóch cztery;  
Z niewiadomości swojej pyszniejszy tym bardziej,  
Zaraz N a r u s z e w i c z e m i T r e m b e c k i m gardzi,  
Ani go Bonafini swym głosem poruszy –  
Nie znają tych powabów twarde jego uszy;  
Mając rozum więzami częstych liczb okuty  
Chce, aby same były w Polsce P o c z o b u t y.

Nie mniej głupie i dumne dziecko Apollina,  
Co nam w kradzionych swoich wierszach przypomina,  
Co sto razy, od niego zawsze lepiej pono,  
W tylu dziełach, przed tyło wiekami mówiono;  
Do swej kochanej Muzy szczere wzięwszy serce,  
Inne wszystkie nauki trzyma w poniewierce:  
Archimedes i Newton u niego cieślami,  
Chciałby Arystotela przełożyć wierszami.

Za talar sprzedający jad swój z przewrotnością,  
Praw opak tłumaczonych pyszny wiadomością,  
Patron, szczekacz obrzydły z wyprawą paszczką,  
Co mu krzywoprzysięstwo każde idzie ręką,  
Z innych wszystkich uczonych uszczypliwie szydzi,  
A zrobiwszy manifest nic nad się nie widzi.

Godnością jubilata srodze najeżony,  
Niedzielny kaznodzieja wrzeszczy jak szalony:  
„Do mnie chodźcie! – każdy mi przyzna bez zatargi,  
Żem lepszy jak Lachowski, mocniejszy od Skargi;  
Wszak zawsze jedno każdej powtarzam niedziele,  
Wiecie, że treść najprostsza na trzy części dziele;  
Do mnie! w kim jest zbawienia swej duszy ochota!  
Dwadzieściam subtelnego lat wykładał Skota,  
Na pamięć-em się uczył Tomasza Akwina,  
Jeźlim go nie rozumiał, to nie moja wina.”

Tak to zbytecznie w własnej sztuce zakochani,  
Bezecni, lud gromadzą próżny, szarlatani;  
Lud o swoje niedbały, cudzych spraw ciekawy,  
Co dla zabicia czasu chce tylko zabawy;  
Lud głupi, któremu to dawno powiedziano,  
Że temu klaszcze w wieczór, komu gwizdał rano.



Inaczej postępuje sobie człek pocziwy:  
Zawsze w sądzeniu swoim bywa sprawiedliwy,  
A których w sobie widzieć nie może przymiotów,  
Jeśli się w drugich znajdują, szacować je gotów.  
Nim Twórca górnych niebios wszechmocny tchem  
[dzielnym  
Wieczną duszę w człowieku osadził śmiertelnym,  
Różnorodnych rodzajów potworzył zwierzęta:  
Orła z wzrokiem, żeby go słuchały ptaszęta;  
Pawia, żeby rozciągał w tęczę ogon długi;  
Wilka zaś dla rozboju, konia dla usługi;  
Psa wiernego, by zwierzę rączym krokiem ścigał,  
I osła leniwego, by ciężary dźwigał,  
I byka ryczącego, owieczkę beczącą,  
Wdzięczną synogarlicę na puszczy jęczącą,  
Którą, nieprawdziwego trzymając się zdania,  
Dotychczas mieli ludzie za model kochania.  
Człek dopiero instynkta każdego poznawał,  
Imię im przyzwoite i prace nadawał.

Pewien się Francuz<sup>4</sup> czynić lękając wyboru,  
Losem kości urzędy dawał swego dworu:  
Foryś czasem u niego został sekretarzem,  
Zadziwiony kapelan musiał być kucharzem,  
Lokaj, że był marszałkiem, szczęścia nie obwinił,  
Stangret dziękował, że go podskarbisem uczynił.

Jeżeli Kaligula w upodlonym Rzymie  
Koniowi swemu nadał konsulowskie imię,  
Mniej był szalony od tych, którzy zaufanie  
Swoje w nikczemnym ludzi pokładają stanie.  
Prawda, że mało zasług, a wiele urzędów,

---

<sup>4</sup> Książę de Mazarin, mąż Hortensji, synowicy kardynała Richelieugo (Przyp. K. Węgierskiego),]

Lecz może na ukryty przymiot nie ma względów?  
Może Cycero jaki lub Wirgili nowy  
Miesza wapno i cegły nosi do budowy  
Albo, niewolniczymi obciążeń roboty,  
Nad przepisaniem cudzej męczy się ramoty?  
Ślepy los, władca ślepy ludzi zaślepionych,  
Nigdy się dróg nie może trzymać przyrodzonych,  
Lecz tak się zawsze stara i jest mu to miło,  
Zęby nigdy na swoim miejscu nic nie było.

## LIST O RÓWNOŚCI LOSU LUDZKIEGO

[Fragmenty]

Bez zazdrości, Trembecki, widzi twoje oko  
Bogactwami nadętą dostojność wysoką,  
Ani się twój wzrok blaskiem fałszywym uludzi:  
Świat jest sceną, na której znaczniejsza część ludzi,  
Pysznych, głupich, nieczułych, wyniosłych, szalonych,  
Tytułami Wielmożnych albo Oświeconych  
Pragnie stan swój uzacnić, ukryć duszę podłą;  
Darmo by wzrok mój próżność ich i głupstwo bodło:  
Wszyscy równi na świecie, odmienna powłoka  
Nie potrafi omamić przezornego oka.

Mówią, że przed Pandory puszką tu na ziemi  
Wszyscy ludzie i stany bywały równemż;  
Toż samo jest i teraz. Mieć jednakie prawo  
Do szczęścia nie jestże to dość równą postawą?

Spójrz no na tę gromadę pracowitych chłopów,  
Nim się plennych z pól swoich doczekają snopów,  
Jak się pocąc lemieszem twardą ziemię orzą;  
Chcąc ją żyzną uczynić wnętrzości jej porzą.  
Tu dla wód sprowadzenia z pracą biją rowy,  
Tu z lasu wożą dęby rosłe do budowy.

Nie Koryl to ni Dafnis, łańcuchem kwiecistym  
Związani, pod róż krzakiem siedząc gałęzistym,

O czułości z Ismeną prowadzą rozmowy.  
Błażej silny i Sobek rubaszny i zdrowy,  
Których ręka pracowna ciężki pług podźwiga,  
Jeden drugiego w pracy codziennej wyściga.  
Kaśka najpierwsza z sierpem, Błażej pierwszy z kosą,  
Ten cały dzień bez czapki, ta cały dzień boso,  
Cierpliwie znoszą, szczerze pracując i żywo,  
I mrozy tęgie w zimie, i upały w żniwo.  
Śpiewają jednak sobie fałszywymi tony  
Piosnki proste, które im pasterz nieuczony  
Chodząc z fletnią za trzodą cabanów powiadał;  
Nie te jednak, co Feba Adiutant<sup>5</sup> ich składał.  
Smaczny sen, pokój, czerstwość, zdrowie zawsze młode  
Mają za swe ubóstwo i prace w nadgodę.

Jeżeli Błażej ze zbożem jedzie do Warszawy,  
Nic go tumult nie wzruszy ani miejskie wrzawy;  
Uszy na nie zatyka, nic go tu nie łechce,  
Szumnych uciech warszawskich poznać nawet nie chce.  
I kiedy Damis, serce niosąc w upominki,  
Od brunetki przenosi gust swój do blondynki,

Intrygami miłości bawi się ustawnie,  
Kryć musi skłonność swoją, nie chce kochać jawnie,  
Żyje brzydko, od pięknej nie kochany żony,  
Od metresy, dla której ją rzucił, zwiedziony,  
Porzuca miłą Egie dla Kloryndy płoczej,  
Cierpieć musi ustawne wymówki i fochy –  
Błażej, silny i zdrowy, daleko wierniejszy,  
Powraca do swej Kasi coraz miłośniejszy,

---

<sup>5</sup> Imię, czyli tytuł, dany Jmć P. Bielawskiemu od ks. Minasowicza w Muzofilu polskim [1776]. Piosnki jego są znajome: jedna, którą zrobił do Księżny Generałowej Ziem Podolskich, na nutę Kuhurudzy dajcie, powinna mu by, jako sam powie, nieśmiertelność upewnić; za drugą, do czarnych oczu, powinni mu by statkę wystawić, jako sam powie... Lecz cóż, kiedy się ludzie nie znają na nich.

Zawsze ją równie wierną i piękną zastaje,  
Podarki jej, choć proste, szczerym sercem daje.  
Nie trzeba mu na kredyt zebrać u Rycharda<sup>6</sup>  
Fraszek, na których widok cnota, zrazu harda,  
Kokietek naszych musi ustąpić powoli;  
Błazej czym innym serce swej Kasi zniewoli.

---

<sup>6</sup> Kupiec na Krakowskim Przedmieściu.

## Z DORATA

### DWA STRUMYKI

#### Bajka

Strumień stał się był potokiem  
I nagłym deszczem nadętyr  
Wzgardziwszy dawne łoże, leciał wielkim skokiem  
Ukryć się w morskie odmęty.

Lecz wśród spokojnej doliny  
Napadł na strumyczek drugi,  
Który, tocząc swój kryształ przez zielone smugi,  
Szedł się gubić w cień olszyny.

Po drodze wdzięczne kwiatki napawał,  
Bawił się po wonnej łące,  
Nigdy się nie powiększał, nigdy nie ustawał,  
Choć się w wężyków dzielił tysiące.

Uchodził niby i znowu się mieścił  
Pomiędzy pachnącym zieleń.  
Wierzę: któż się dość kiedy napięścił  
Z swojego kochania celem?

„Umknij się – rzecze mu potok – z drogi,  
Mój ty strumyczku ubogi!  
Nie zawadzaj mi; powiedz, dla czyjej wygody  
Sączysz tę niteczkę wody?

I co masz za cel gnuśnić w tej dolinie?  
Mnie gdy wyniosła Fortuna,  
Do rozległych państw Neptuna  
Moja woda z hołdem płynie.”

„Spiesz się do oceanu...” –  
Strumyczek mu odpowiedział.  
„Nie zazdrozczę twego stanu:  
Ja tu sobie będę siedział.

Nie podlegam bynajmniej tym chęciom szalonym,  
Ani się moja żądza w projektach nie gubi:  
Wolę, że mię łąka lubi,  
Niż być od morza wzgardzonym.”  
Lea deux ruisseaux

## Z MARMONTELA

[DO ELIZY]

Nie chcę znajdować w tym sławy,  
Że wóz Jutrzenki prowadzę,  
Że powrót Flory łaskawy  
Światu ogłaszać mam władzę,  
Bo cel godniejszy żądania  
Uwieńcza moje starania.

Choć Jutrzenka Izy wylewa,  
Miłosnym łudząc wejrzeniem;  
Flora zręcznie kwiat rozsiewa –  
Serce me dla nich kamieniem,  
Bo cel godniejszy żądania  
Uwieńcza moje starania.

Lecz twoich, Elizo, chęci  
Za święte mianych rozkazy,  
Nic mej nie ujmie pamięci,  
Boś ty piękniejsza sto razy  
I cel godniejszy żądania  
Uwieńcza moje starania.

Twemu przełożeniu ocknieniu,



Ważniejszą Sylf część odbiera,  
Gdy z rana lub w nocnym cieniu  
Wdzięczność dlań wzrok twój przetwiera  
I cel godniejszy żądania  
Uwieńcza moje starania.

**PIGMALION**  
**Scena liryczna**  
**Jana Jakuba Rousseau**  
**wierszem przełożona**

## DO KRÓLA

Do tronu królewskiego nie godziłoby się przystępować, tylko z takimi darami, które by warte były Monarsze być ofiarowane. Nie śmiałem, Najjaśniejszy Panie, nic do tego czasu W[aszej] K[rólewszej] M[ości] dedykować, bo choć miłość własna niektóre z pism moich dobrymi przede mną wystawiała, lękałem się jednak mieścić mnie pomiędzy tym tłumem pisarków, którzy stopnie tronu W[aszej] Królewskiej] M[ości] od lat kilkunastu nudnymi zarzucają szpargałami. Ale kiedy powszechny okłask to tłumaczenie Pigmaliona zaręczyć mi raczył, niosę go do stóp W[aszej] Królewskiej] M[ości] tym chętniej, im żywiej pragnę zaszczycić mię przed Nim pracą jaką, która by mię godniejszym względów Jego uczynić potrafiła. Geniusz, Najjaśniejszy Panie, między Trembeckim i Krasickim łaski swoje podzieliwszy, nie zostawił drugiego rzędu pisarzom tylko niewolniczą naśladowania drogę, którą iść mierne przymioty koniecznie nakazują. Ale po rzadkiej tworzenia dzielności najtrudniejsza jest tłumaczyć wierszami: sztuka ta dawnym wcale była nieznajoma. Naśladowali oni, ale nie tłumaczyli. Osobisty języka naszego obrót, mechanizm poezji naszej, zdawał się nam też same przepisywać drogę. I jakoż do tego czasu, mimo najczęstszego usiłowania, słabe tylko imitacje, a rzadko gdzie tłumaczenie dobre widzieć można. Nie jest to tak łatwa rzecz, jak powszechnie rozumieją; co jest w narodzie jednym pięknnością, wadą się o kilkaset mil staje. Malarz Chińczyk, który by, mitologii greckiej cokolwiek zasłyszawszy, Wenerę odmalować przedsięwziął, wziąłby sobie zapewne za model piękność chińską, z małymi oczkami i brwiami wcale nic albo mało co rześistymi; każdy by mu ziomek robocie jego przychwalił i matkę wdzięków podobną tej postaci osądził. Niechże toż samo polski malarz naśladuje – i dzieło swoje, i siebie na śmiech wystawi koniecznie. Strzegłem się, Najjaśniejszy Panie, w tłumaczeniu moim tej szydności jak najbardziej. Żywość myśli, moc wyrazów chciałem oddać jak najwierniej, ale się nigdy dla słowa nie więził; starałem się być równym Russowi: jego duszę, jego ogień przejąć w siebie usiłowałem, mimo tego jednak,

Jeśli się zazdrość krzywi,  
Żem tu słabym śpiewał tonem,  
Bądź dla mnie Pigmalijonem:  
Wdzięczność mię pewnie ożywi.

W[aszej] Królewskiej] M[ości]

Wierny poddany

T. K. Węgierski

## PIGMALION

Scena liryczna

Pigmalion siedzi wsparty i zamyślony, w postawie niespokojnego i smutnego człeka; potem razem się porywając bierze narzędzia ze stołu i kilka sztychów nimi daje; odstępkuje od roboty i okiem nieukontentowania pełnym na nią pogląda.

Nie masz tu w tej robocie ni czucia, ni duszy,  
Lecz same oziębłe głązy.  
Cokolwiek tylko teraz moja ręka ruszy,  
Już to są słabe wyrazy.

Symfonia

Zniknąłeś, talencie dawny,  
I ty, genijuszu sławny!  
Twoje mnie ognie rzucają.  
I moje palce trwożliwe,  
Nie tak jak przedtem szczęśliwe,  
Marmurom życia nie dają.  
Straciłem me imię dawne...  
Ma ręka bogów nie stwarza...

Symfonia

Idźcie, narzędzia niesprawne,  
Niech się więcej ma sława wami nie umarza!

Rzuca ze wzgarda młotek i dłuto, przechodząc się szybko z założonymi rękami.

### Symfonia

Ach! jak się straszna we mnie zrobiła odmiana.  
Tyrze! Ojczyzno kochana!  
Twe piękności, co mię tak bawiły przyjemnie,  
I te kunsztów i nauk pamiętniki trwałe,  
I te posągi wspaniałe  
Nie budzą podziwienia we mnie...  
Ani mię filozofów obcowanie wzruszy,  
Malarzów i poetów rozmowy mnie nudzą,  
Sława ani pochwała nie wznoszą mej duszy...  
Czucia nawet przyjaźni już się we mnie studzą.

### Symfonia

I wy, młodziuchne piękności,  
Wy, życia mego rozkosze,  
Natury doskonałości,  
Które naśladowałem po trosze...  
Wy mię, przyjemne modele,  
Dowcipu i miłości ogniem zapalały...  
Lecz i o was nie dbam wiele,  
Dla mojej Galatei w podziwieniu cały.

### Symfonia

Siada na moment i naokoło siebie spogląda.

Dziwem tajnym jakimści tutaj zatrzymany,  
Niczego kończyć nie zdołam...  
Z kamienia do kamienia przechodzę zbłąkany  
I darmo na mój talent utracony wołam...

Od świtu do późnej nocy  
Próżnować – moja robota cała:  
Same tylko nieśmiało poczynam osnowy...  
I te martwe posagi... i te nieme głowy...  
Już nie czują dzielnej mocy, Która by im duszę wlała.

Symfonia

Porywa się ze stolka.

Ani skry geniuszu we mnie nie zostaje!  
Młody... przeżyłem siebie, straciłem me siły...  
Lecz co za ogień wkradł się w moje żyły,  
Że się cały gorzeć zdaje?...  
Jakże w oziębłej myśli, w dowcipie stepionym  
Czująż się te poruszenia?  
Te namiętności nagie uderzenia?  
Podlegaż człek tak szybko odmianom szalonym?  
Ta niespokojność okrutna,  
Która duszę moją trawi...  
I ta nadzieja smutna,  
Której umysł przyczyny sobie nie wystawi?...  
Bałem się, by w podziwieniu  
Własnego mojego dzieła  
Rozpacz mię jaka nie wzięła  
O innych robót dalszym powodzeniu:  
Schowałem je pod zasłonę...  
I ręce moje śmiały  
Zakryć swój zaszczyt cały  
I tę wieczną pamiątkę odłożyć na stronę.  
Nic mi to nie pomogło przejrzanie subtelne:  
Smutniejszy odtąd jestem, lecz nie mniej leniwy..

Symfonia

Lecz jak mi drogie jesteś, dzieło nieśmiertelne,  
Jakem z tobą jest szczęśliwy!...  
Gdy mój dowcip darmo się będzie już sposobił,  
By co mnie godnego zrobił,  
Wtenczas się pokażę światu  
I rzeknę: „Nieszczęście mi sławy nie odjęło,  
Bo oto jest dawne dzieło  
Pigmalijona warsztatu.”

Symfonia

Ach, Galateo! kiedy smutną próbą  
Nic wcale dla mnie nie będzie na świecie,  
Ty mi się zostaniesz przecie...  
I będę się cieszył tobą.

Symfonia

Przybliża się do zasłony i wzdychając patrzy na nią.  
Po co ją ukrywając pomnażam mej męki?  
Gdym się poświęcił próżnować...  
Czemu najpierwszym dziełem mojej ręki  
Nie mam wzroku kontentować?...  
Ach! może jeszcze jaką upatrzę w niej wadę,  
Może strojowi jaką dać mogę ozdobę?  
Wszystkich talentów zawołam na radę,  
Zęby zupełnie piękną zrobić tę osobę.  
Może też to mój dowcip zgaszony zapali?...  
Obaczmy ją raz jeszcze:  
Rozważmy na gustu szali,  
Czy się nie darmo nią pieszczę,  
Bo dotąd, zawsze pełen podziwienia,

Nie miałem nigdy czasu rozważenia.

Symfonia

Chwyta zasłonę i z przestraczem ją opuszcza.

Lecz jakie straszne czuję poruszenie,  
Tykając się tej zasłony!  
Bojaźń po wszystkich członkach rozsyła mi

[drżenie.

Czego się lękasz, szalony?  
Czyli się zbliżasz do bogów świątyni?  
Kamień to, twoje to dzieło...  
Cóż z tego? co nam bóstwem lekkowierność czyni,  
Innyż li początek wzięło?

Symfonia

Podnosi zasianą i uniża się pod nią; widać statwę Galatei na piedestale małym, ale  
wywyższonym kilku stopniami marmurowymi.

Bierz cześć ode mnie, Galateo miła!  
Wybacz, dotąd się myliłem;  
Chciałem cię stworzyć nimfą, boginią zrobiłem:  
Wenus ci miejsca swego ustąpiła.

Symfonia

Próżności ludzka! pocieszna słabości!  
Moją ubóstwiam robotę  
I własnej pełen miłości  
Siebie w niej czcić mam ochotę...  
Nie... nie, nic piękniejszego natura nie dała  
Ani stworzyła bogów możność cała...  
I jakże? z mojejże ręki  
Nieporównane wyszły te wdzięki?



I moje palce tykać ich się śmiały?  
I moje usta mogły?... Lecz, Pigmalijonie,  
Widzisz ten defekt mały:  
Oto zbyt ciało pod tą suknią tonie;  
Trzeba jej ująć niewiele;  
Nadto piękności zakrywa,  
Których się oko spodziewa  
W tym nieporównanym ciele.

Symfonia

Bierze narzędzia i z wolna na stopnie wstępuje; podniósłszy na koniec dłuto, wstrzymuje się.

Przez zbyt pomieszczenie zniknęła ta wada,  
Ledwie mię wstrzymują nogi;  
Nie chcę... dłuto mi z ręki wypada –  
Popsułbym ten posąg drogi.

Symfonia

Ośmiela się, a potem, podnosząc dłuto, uderza raz, lecz przejęty strachem upuszcza go z krzykiem.

Co widzę! Ciało żywe! czy mię też kto drażni?  
Jakaś mię moc odpycha...

Symfonia

Schodzi pomieszany i drżący.

O, niepotrzebna bo jaźni!  
O, nieukrócona pycha!...  
Nie tknę jej... Bogowie by mię skarali.  
Do swej ją społeczności już pewnie wezwali.

Symfonia

Znowu na nią spogląda.

Jakich jej dodasz wdzięków? Co chcesz w niej  
[odmienić? Zbyteczna doskonałość jedynie jej szkodzi.  
Żebyś cię mógł mniej, Galateo, cenić –  
Już ci na niczym nie schodzi.

Symfonia  
Czule

Ale ci na duszy zbywa,  
Postać jej twoja wymaga koniecznie.

Symfonia  
Z większą jeszcze czułością

Ach! jak piękna ta dusza i jak jest szczęśliwa,  
Która twe ciało ożywi skutecznie!

Symfonia  
Zatrzymuje się na chwile, polem siadłszy mówi głosem przerywanym i mienionym

Lecz gdzie się tak okrutne Szaleństwo unosi?..  
O co Pigmalijon prosi?..  
O nieba!... już spadła zasłona błędu.  
Nie wartem żadnego względu.  
Przewiniło serce moje...  
Gniewam się sam na siebie i wniść się w nie boję.

Symfonia  
Ponurzony w głębokim zamyśleniu.

Taż to śliczna twą duszę miłość rozpałała?  
Tymże się martwym poruszasz obrazem?

Kamień, marmur, niezgrabna bryła,  
Którą tym kształcę żelazem...  
Szaleńcze!... pomiarkuj się... co robisz? niestety!  
Ale nie...

Symfonia  
Gwałtownie

Nic tu od rzeczy nie robię...  
Nie marmur mię pociąga, lecz postać kobiety,  
Co tej podobna osobie...  
Ach! gdziekolwiek jest ta postać tak miła,  
Jakie ją kolwiek ma na sobie ciało,  
Jaka ją kolwiek ręka zrobiła,  
Zawsze jej serce me będzie sprzyjało...  
Całe moje szaleństwo – piękność rozeznawać;  
Całym moim występkiem – być dla niej  
[dotkliwym...  
Nie można tu imienia winy temu dawać,  
Bo to mnie czyni szczęśliwym.

Symfonia  
Mniej żywo, zawsze jednak z pasją  
  
Lecz jaka dzielność promieni żywa  
Z tych oczu na mnie wypada...  
Wszystkie me zmysły ten ogień obsiada  
I duszę moją z sobą porywa...  
Posągu przecie to nie ocuca,  
Choć me serce wdziękami jego rozżarzone  
Gwałtem moje ciało rzuca  
I chce przejść na tamtą stronę...  
W mym szaleństwie mi się zdało,

Żeby sam wyskoczył z siebie,  
Sam bym ożywił twe ciało,  
Duszę moją przelał w ciebie...  
Ach! niech mię wszystka opuści siła,  
Byle Galatea żyła!...  
Ale gdzie mię chęć unosi płocha?  
Gdybym umarł dlatego, żeby ona żyła...  
Gdybym nią był... nie byłbym już tym, co ją  
[kocha...  
Nie mógłbym widzieć, jak jest Galatea miła.  
Ach! niech będę czym jestem, bym nią być mógł  
[żądać,  
Bym ją mógł kochać, być od niej kochanym,  
Bym ją mógł zawsze oglądać  
I być wzajemnie od niej widzianym!

Symfonia  
W zapale

Męki srogie! pomieszania!  
Chęci! niemoc! szaleństwo! gniew! próżne żądania!  
Miłości straszna! Miłości burzliwa!  
Piekielnym ogniem me serce się pali...  
Bogowie możni! których ręka litościwa...  
Bogowie! coście ludzkich słabości doznali,  
Nieraz darmoście cuda czynili na ziemi...  
Spojrzyjcie na serce moje, na cel mej miłości,  
I dziełem pełnym sprawiedliwości  
Bądźcie ołtarzów wartemi!

Symfonia  
Z większym uczuciem i jak najdotkliwiej

I ty, najwyższa Istności,  
Której subtelność przed zmysły się kryje,  
Którą jedynie świat żyje...  
Początku wszelkiej bytności!  
Ty, która dajesz żywiołom zgodę,  
A ciałom czucie potrzebne:  
Od Ciebie mają ludzie urodę,  
Życie – istoty podniebne...  
Ogniu niebieski! Dzielności wszechmocna!  
Którym się wszystko żywi, wszystko utrzymywał  
Twa moc dziś jest bezowocna,  
Twa waga niesprawiedliwa!  
W czuciu, którego doznaję,  
Krzywda się czyni naturze:  
W mym sercu wszystek ogień zostaje,  
A śmierć zimna – na marmurze...  
Żywiej  
Ten mię zbytek życia dusi,  
Na którym mu dotąd zbywa...  
Ale się Pigmalijon cuda nie spodziewa...  
Już cud jest... i przestać musi...  
To porządku przewrócenie  
Zbyt znieważa przyrodzenie...  
Niech twoja dzielność łaskawa  
Powróci mu dawne prawa;  
Do zupełności na świecie  
Na dwóch mu istotach schodzi...  
Między dwa serca podziel ogień przecie,  
Co nie żywi jednego, a drugiemu szkodzi...  
Tyś kierowała ruszeniem mej ręki,  
Kiedym te formował wdzięki.  
Dzisiaj im zbywa na duszy;  
Ja im życia mojego połowy nie skapię:

Bierz ją, a jeżeli to ich jeszcze nie poruszy,  
I całego im ustąpię.

Ty, która śmiertelników hołd wdzięcznie  
[odbierasz!

Kto nie czuje, oddać ci winnej czci nie zdoła,  
Rozciągaj sławę, gdy tve dzieła rozpościerasz –  
Przyrodzenie na cię woła.

Z jego by to bogini było ukrzywdzeniem,  
By posąg tak doskonały  
Był tego wyobrażeniem,  
Czego nie ma okrąg cały.

Symfonia

Siada chcąc odetchnąć i przychodzi do siebie powoli, z poruszeniem upewnienia i radości.

Powracam do mych zmysłów, ach! spokojność

[miła

I radość niespodziana boleść moją słodzi...  
Śmiertelna już gorączka krew moją paliła,  
Słodki balsam ufności po niej się rozchodzi.  
Zdaje mi się, że młodnieję.

Symfonia

Czasem pociechą czucie podległości bywa:

Rodzą się w człeku nadzieje,

Gdy na pomoc bogów wzywa.

Lecz i ta ufność omyli...

Któż kiedy miał szaleńsze życzenia ode mnie...

Ach! wszystkich wzywam w tej chwili,

Ale ich wzywam daremnie...

Dzika nadzieja, która powiększa mą winę,

Smieszniejsza jest od żądania.

Symfonia

Wstaje.

Wstydząc się tego zbłąkania

Już się nie ważę spojrzeć na jego przyczynę.

Kiedykolwiek śmiem tylko rzucić na nie oczy,

Pomieszanie czuję nowe:

Serce drży, oko się mroczy

I bojaźń zawraca głowę.

Symfonia Z przykrą ironią

Bądźże mężnym, nieszczęśliwy!

I waż się spojrzeć na kamień nieżywy.

Symfonia

Ujrzawszy ożywioną statua, odwraca się z przestraczem i podziwieniem,

Bogowie! cóżem widział? lub co mi się zdało?

Żywość w oczach, ruszenie, zrumienione ciało...

Nie dosyć, że się cudów spodziewałem

Na spełnienie mej nędzy... Oto je widziałem.

Symfonia

Jak najmocniej

Jużem zginął... Nieszczęśliwy!

Szaleństwo rozum wygania...

Lecz się nie skarżę na ten los Nielitościwy:

Strata jego od hańby przecie mię zasłania...

Jest to łaska przyrodzenia,

Gdy się szalonym staje miłośnik kamienia.

Symfonia

Widząc ruszającą ślą i zstępującą Galateą klęka, wznosi ręce i oczy ku niebu.

Wenero!. Galateo!. O! wielcy bogowie!

Okrutnej miłości dziwie!

GALATEA

Ja...

PIGMALION

rozzarzony

Ja...

Symfonia

GALATEA

Ja...

PIGMALION

Ty, co łudzisz me uszy szczęśliwie,

Śliczna obłudo! zostań na wieki w mej głowie!

Symfonia

GALATEA

dotykając się, marmuru

Już to nie ja...

Symfonia

Pigmalion w pomieszeniach, w zapalach, które wstrzymać mu ciężko, pilny na każde jej poruszenie, słucha i przypatruje się z jak największą atencją, która ma ledwie odetchnąć pozwala. Galatea zbliża się ku niemu. Pigmalion podnosi się, wyciąga ręce do niej, poglądając na nią z zachwyceniem. Galatea dotyka się go; on, pełen radości, bierze jej rękę, przyciska ją do serca i żywo ją całuje.



GALATEA

z westchnieniem

Ja jeszcze...

PIGMALION

Tyś jest moje życie,

Tyś mych rąk, mego serca, bogów pierwsze dzieło!

Tobiem me poświęcił bycie,

Bo dla ciebie istność wzięło.

KONIEC

## **WOJNA O WĘGIERSKIEGO**

JÓZEF BIELAWSKI

ODPOWIEDŹ WĘGIERSKIEMU

Ouid me remorsurum petis?

Horatius

Byłbym cię nie znał, ale pióro cię wydało,  
Co z kiepska po węgiersku Woltera przebrało.  
Żałuję jego losu, że w tak śmiesznym stroju  
Pójdzie na papiloty ciemnego pokoju.

[1776]

JÓZEF EPIFANI MINASOWICZ

NA RYMOTWÓRCĘ POTWARNEGO

Kto uczonec – uczony, ma prawo do sławy.  
Sławy z osławy szukać – postępkiem nieprawym.  
Przeciwny jawnej prawdzie tej uczynił wniosek  
Twórca potworny rymów potwornych, młokosek:  
„Niech – prawi – kto chce sławy z swychuczonych  
[szuka Pism; sławę z cudzej znaleźć osławy – to sztuka...”  
Szukał Herostrat sławy, lecz nieprawym torem,  
Chcąc być świetny spalonym Efezyny zborem,  
Czym się wiecznie oczernił, gdyż z niesławą zginął.  
Zbór, i spalony, sławą zawsze będzie sływał.

[I776]

ONUFRY RUTKOWSKI

ODPIS NA LIST DO WIERSZOPISÓW

Obił się niespodzianie twój wiersz o me uszy,  
Czy bardziej nierozsądny, czy bardziej pastuszy,  
Którym, zmaczawszy pióro w żółci smoczej,  
Pluskasz oświeconemu światu śmiało w oczy,  
Światu, który, poetą kto jest, dobrze zna się,  
A kto i nogą nie wart postać na Parnasie.  
Ubolewam nad tobą, że uschniesz w nadziei,  
Byś kiedy nektar Hybli kosztował z kolei,  
Bo tak czarno bazgrana przeciw wszystkim karta  
Zawsze się poda światu za Feba bękarta:  
Prawych jest synów Feba słodkie nucić pienie,  
Bękartów jest na wszystkich brudne kłaść odzienie,  
Każdego cię, jak mówisz, rym poety nudzi;  
Twój każdego, aby cię nienawidził, budzi.  
Tak trafiasz w myśl poetom ganiać zwyczaj stary,  
Jak ten, co przez zbrukane patrzy okulary.  
Ganię ja, gdy kto zdrajcy rymem chwałę głosi,  
Ganię, gdy dla podchlebstwa człowieka wynosi,  
Albowiem nie ten zamiar Apolla pochodni,  
By zbrodnie chwaląc dawał ponętę do zbrodni,  
Wszakże chcieć znosić zwyczaj wieszowania komu  
Lub wspomniania pochwał wysokiego domu;  
Albo, gdy się z rodziców zacnych dziecko rodzi,  
Głoszenia, że puchacza orzeł nie urodzi,

Lub gdy kto jakimkolwiek krokiem szczęścia dopnie,  
Dania nauk, aby się sprawował roztropnie,  
A zważając codziennie swych przodków przykłady  
Starął się nieodwłocznie w ich wstępować ślady;  
Chcieć, mówię, ten potępiać zwyczaj – wierzajże mi –  
Jest się płochym człowiekiem pokazać na ziemi.

Za Maronem, Owidym nie nosisz i teczki,  
A tak twej mózgownicy popuszczasz uzdeczki,  
Jakobyś po Owidym, Horacym, Maronie  
Wziął zlewkiem laury, co ich uwieńczyły skronie.  
Przeto tamci poeci, prawdziwie uczeni,  
Których każdy wiersz złotem starożytność ceni,  
Bądź nie wiedząc, bądź gardząc, że kiedy półgłówki  
Mieli czynić ich wierszom bezwstydnym przymówki,  
Na wesela, na dzieci, szlachetnych rodziny,  
Na swych przyjaciół honor lub na imieniny  
Rymy pisali często. Współczeladnik cechu  
Niegodny Apollina, nie uchodzisz śmiechu.  
Słowa są twoje własne na poetów strony:  
Zgodnie za cóż się szarpie pysk twój wyparzony?  
I gdy wiesz, żeś niegodny czeladnik jest przecie,  
Czyż możesz dać naukę mistrzowi-poecie?  
Mnie się zdaje, że to cię boli, iż nas mile  
Wspominają, a ciebie łaja za paszkwile:  
My, że za wiersze bierzem nadgrody i chwały,  
A ciebie już afronty nieraz spotykały.

Nie chcę się z tobą, prawda, mój cechowy, bratać:  
Byłoby to Jowisza córkę z szewcem swatać,  
Atoli żeś jest do mnie po Adamie bliski,  
Radzę ci: przestań rzucać na Parnas pociski,  
Gdyż najprzód wżgardzą tobą, bo mądrego człeka

Nie urażać bynajmniej, choć nań kundel szczeka;  
Potem, abyś za wiersze, jako kiedyś Nazo,  
Nie poszedł między Scyty z gorszą jeszcze zmałą,  
Tam albowiem, wierzaj mi, skoro będziesz wzięty,  
Będzie cię Scyta uczył wierszów bijąc w pięty.

[1776]

A. B.

## ODPIS OBADWOM

[Kajetanowi Węgierskiemu i Onufremu Rutkowskiemu]

Poeta rzucił paszkwil, pisał drugi na to:

Jeden z ujmą honoru, drugi z sławy stratą.

Tamten hydził, ten czernił; godni są litości.

Tamten w gniewie napisał, ten odpisał w złości.

[1776]



MATEUSZ CZARNEK

DO WĘGIERSKIEGO

[Z powodu wierszy Bielawskiego, Minasowicza i Rutkowskiego]

Jużeś zginął, Węgierski, uciekaj czym chyżej,  
Twoja zguba, niżeli kiedy, dziś jest bliżej!  
Spiknęli się na ciebie: sierzysty Bielawski  
I zaszczyt akademików krakowskich Kiraski;  
Trzeci także nielada szermierz Apollina,  
Co pierwszych dzielne głupstwa w swych rymach  
wspomina;  
Czwarty ma Zabawnicki miejsce między nimi,  
Czym innym nam znajomszy niż wierszami swymi:  
Zły ksiądz, gorszy delegat, najgorszy poeta.  
Nie taka cię twych zasług miała czekać meta!  
Czterech ich jest, tym lepiej: cztery części świata,  
Czterema się porami każdy rok przeplata,  
Cztery żywioły, cztery wiatry pryncypalne,  
Języki, jak nas uczą, cztery w świecie walne,  
Z czterech się liter składa u kobiet część ciała,  
Z której ludźmi jest ziemia zaludniona cała.  
Lecz daremne ich wszystkie są usiłowania,  
Pebus cię od tych słabych pocisków zasłania,  
A pod sławy puklerzem spokojny, bezpieczny,  
Zasłużysz dzieły twymi na szacunek wieczny.

[1776]

IGNACY POTOCKI

ODPOWIEDZ PIĘCIU ELŻBIET

Pierwsza Elżbieta z tych się wierszów gorszy;  
Druga się śmieje: śmiech do wzgardy skorszy;  
Trzecia zna śmiechy, półgłówkiem cię zowie;  
Czwarta sama się wstydzi w tej obmowie;  
Piąta widząc tve podłe nader wiersze  
Tak tobą gardzi, jak gardziły pierwsze.  
Godzieneś, cny poeto, by cię Muzy rosą  
Helikońską skropiły, co ją w kroku noszą.

[1776, po 19 listopada]

STANISŁAW TREMBECKI

ADIEU

[Na wyjazd Węgierskiego do Radzyna, w gościnę do Kajetana Potockiego i Mme d'Etoubville]

Już odjeżdżasz, Węgierski, za łukowskie bory,  
Gdzie ładne dziewczę domu wyrządza honory.  
Całuj, które się godzi ucałować członki  
Tej, co wiernością znańsze wyrówna małżonki.  
Ni ją straszne przysięgi, ni grodzący pisarze  
Przez kontrakt z Urzędowskim umieścili w parze,  
Ale łagodna piękność nad święte łańcuchy  
Silniejszym sprzęga węzłem ich ciała i duchy.  
Szczerłość jej obyczajów, siła przymilenia,  
Wdzięków żywość ustawne wzniecają pragnienia,  
Nie bez obrony jednak faworów udziela,  
Nie dopuszczając sytu, nudów przyjaciela.  
O! po trzykroć szczęśliwy dzielący z nią łoże:  
Często pragnie, ma czasem, przeto zawsze może,  
A nawet przy niemocy gładka ręka dźwignie.  
Jedź, a wracaj weselszy, niech zawiść ostygnie,  
Która wiesz, uknowany w potajemnej zdradzie,  
Pełen jadu i fałszów, dziś na twój karb kładzie.  
Nie uwierzę, by twój styl, galantemu bliski,  
Na piękną płeć smolące miał rzucać pociski.  
Ku wierzchołkom dwójgóry ścieżka wiedzie nie ta:  
Nigdy dam żaden z lepszych nie szarpnął poeta,

Jeden tylko Boileau, co się wiecznie dąsał,  
Starym zębem na koniec i damy pokąsał.  
Ten przykład nie do wzoru i nikłą miał modę.  
Wieszli jego nagości w dzieciństwie przygodę?  
Gdy jędora to za nos, to za ogon skubał,  
Gniewny mu ptak instrument rozkoszy udziubał.<sup>7</sup>  
Orfeusz... czemuż łączyć tak odległe czyny?  
Póki stanie chrześcijan będą bernardyny  
I zaszczyty Karmelu trwać mogą do woli.  
Upadli, hej, upadli synowie Lojoli.  
Wszak z ich strony bywały Watykanu gromy  
I zdawniałe niewiasty, i świat niewidomy?  
Przeciw nim były młodsze, zatem giną marnie.  
Czczijmy damy, bo i nas równy los ogarnie,  
A czyjekolwiek pióro z nimi się podrażni,  
Zalękniony, od jego uciekłbym przyjaźni.

[1776, po 19 listopada]

---

<sup>7</sup> Cette Tradition ,passe pour vraie.

PSEUDO-KORYTYŃSKI

DO WĘGIERSKIEGO

Jakże, Węgierski? Twój dowcip ucieka,  
Ze mu są przykre nieprzyjaciół rzesze?  
Tenże to ma być los dla tego człeka,  
Co sprzyja cnocie, a występki krzesze?  
Tłum pewnych ludzi na to się usadził,  
By światło przyćmił, a dowcip zagładził.

Każdemu z tych jest obmierzły poeta,  
Cnotę ktokolwiek nad zbrodnię poniżył:  
Czy kto do liszki, czyli też do kreta,  
Czy do motyla w postępkach się zbliżył,  
Każdy a każdy złorzecząc się wstyda,  
Gdy kto przed światem niegodziwość wyda.

Fircyk się kręcąc w pochlebczym szeregu  
Cierpieć nie może, kto mu prawdę głosi;  
Łotr, że się wylał z nieprawości brzegu,  
Nie lubi wieszczka, że go nie wynosi;  
Świstak i trwońca tym się także brzydzi,  
Z głupiej prostoty kto rozumnie szydzi.

Mierzliwym okiem spogląda psychalec,  
Że mu się skromny filozof nie kłania;  
Wznosi przegróżki brutal i zuchwalec,

Że mu spokojny wierszopis przygania;  
Sowizdrzał łaje, że mu ktoś zarzucił,  
Jakoby on świat do góry przewrócił.

Wszędowstręt z takim nie zechce przyjaźni,  
Kto jego śmiałym brzydzi się bezwstydem;  
Lichwiarz osądzi tego godnym kaźni,  
Kto go uszczypnie nazywając Żydem;  
Pono niełaskaw będzie i kostera,  
Że z nim rymopis spółki nie zabiera.

Fanatyk srodze na tego się wstrząsa,  
Ze jego głupstwa kto z boku wyśmieje;  
Hipokryt chytry ostrym zębem kąsa,  
Że ktoś tam jego podejście opieje;  
I gnuśny lezeń, wyrzawszy spod beta,  
Gniewa się, kiedy drwi z niego poeta.

Strzyżeniec, także nie kontem:, zamruczy,  
Że próżne życie wiersz jemu nagani;  
Dumny pedagog srodze się rozhuczy,  
Jeśli kto piórkiem ambit jego zrani;  
Głupca przed całym utrzymuje światem,  
Że kto rymotwór, ten jest waryjatem.

Opasły próżniak ma tych w nienawiści,  
Którzy na pracy Sławnie trawią lata;  
Zoil, że niewart wawrzynowych liści,  
Szczęśliwsze nad się dowcipy pomiata;  
Cudze pochwały samowolę wędzą,  
Że jego skrzydła lotniejszych nie spędzą.

Dla tych to ludzi, szczery Kajetanie,

Ponoś z Warszawy na stronę wyjechał,  
Lecz jakieżkolwiek jest onych sarkanie,  
Nie trzeba, żebyś tve pióro zaniechał:  
Gdzie umysł niesie i dowcip wysoki,  
Rzucając ziemię wzlatuj pod obłoki.

Tam, coraz wyżej swe unosząc loty,  
Patrzaj na padół z Horacym swobodnie;  
Stamtąd bezpiecznie puszczaj swoje groty  
Na niegodziwe przewrotników zbrodnie;  
Jednakże damy chciej łaskawie mijać,  
Bo te nam muszą, a my onym sprzyjać.

Z czasem ta zawiść gorąca ostygnie,  
Co ciebie teraz Izy, oczernia, kąsa;  
Po chwili swojej dzikości się wzdrygnie,  
Co się przegryza i z gniewem się dąsa.  
Złość długo nie trwa, a kiedy ta pryśnie,  
Pamięć ci wieczna i sława zabłyśnie.

Post scriptum

Amicus Plato, amicus Socrates,  
sed magis amica veritas.

Nie wszystkie duchy rodzą: wybacz mej prostocie,  
Że płód cudzego mózgu święcę satyr cnocie!  
Biada mi, że nie jestem twórczym literatem,  
Lecz kocham sławę bliźnich, będąc ziemskim  
[bratem.

Stąd nie myśl, ale serce wiersz ci ten tu składa,  
A gdy smaków dziwactwo wszem na świecie  
[włada,

Nie strasz się brzękiem kości żądliwych

[szerszeni –

Z czasem wszystko się zjawi, wszystko się

[odmieni.

\*

Nie umiając grać na lutni, daruj sercu sprawcę,

Iżem Ci tu na tych wierszy zabrząkał oktavce.

[1776/1777]



GRACJAN PIOTROWSKI

LIST DO JMCI PANA DŁUSKIEGO  
STAROSTY ŁUKOWSKIEGO  
NA WYZNANIE J. P. WĘGIERSKIEGO

Starosto, między licznym ziemian twoich tłumem  
Szczerą cnotą i jasnym słynący rozumem,  
Nie wiem co ma do siebie ta przemierzła sława,  
Ze nam, co rymy tworzem, truciznę zadawa.

Drugi mniej dba, choć straci kęs chleba i roli,  
Gdy mu lutnią nastroić Apollo pozwoli;  
Niechże przełknie od nędzy, głodu, wnet ożyje,  
Gdy mu ktoś szepnie: „Piękne robisz tragedyje.”

Zgięty w prasie swych nieszczęść, przypadków, aż skoro  
Posłyszysz, że gdzieś wielbią jego słodkie pióro,  
Lub też że ostre jego ktoś satyry czyta,  
Rzuca troski i zaraz do wierszy się chwyta.

I jąc to znam do siebie, żem nie dosięgł jeszcze  
Tych, co ich pienia bluszcze, laury zdobią wieszczce,  
A przecież gdy z drukarskich mój wiersz wyjdzie cieni,  
Radem, lub że mię mądry ktoś nosi w kieszeni.

A nuż gdy się w pułtynek lub w biurko gdzieś wciśnie  
Mój rym, choć go ktoś zębem zarwie nienawiśnie,  
Że jeszcze nie jak trzeba jest ułan dosadnie –  
Radem, że gdzie nie mogę, sam on się tam wkradnie.

Tak nas ta rymopiska sława w serce bodzie,  
Że w żadnej tyle smaku nie czuję swobodzie,  
Jak w tym wietrze, co miłe nam brzmi wedle uszu:  
„Krasno pisze, ma dosyć wdzięku, Enteuszu.”

Ani nawet wżgardziciel ów świata półnagi,  
Choć chce wyrazić obraz surowej powagi,  
Od tej się zwykł uchylać powszechnej przywary;  
Nią tchnie piszący młokos, z niej puszy się stary.

Przyznaj mu, że się ten mnich nie ochrania w chórze,  
Ze plamy żadnej w świętym nie splątał kapturze,  
Że ksiądz dobry... Nie pochwał tylko jego weny,  
Nie przyznaj mu, iż chlipnął żywo Hipokreny;

Że jak Perykles słodko na ambonie wrzeszczy,  
Zgryźleś go, w serce tuzin wlepiłeś mu kleszczy.  
Tac to nas wszystkich razem trapi sława biedna:  
Kto nas nie chwali, ten nam dopieka do sedna.

Kto chwali, ten przyjaciel. Bez chwały i piórem  
Nie tchniemy, choć się chlubim pokory pozorem.  
Im się bardziej płaszczymy i niżej kładziemy,  
Tym chciwiej ludzkich kląskan i pochwał pragniemy.

Rdza, śniedz na rozum ludzki bywa próżna chwała,  
Lecz tak się w duszach wieszczych powszechnie rozlała,  
Ze jednego na wszystkich trzeba by poloru,  
Czy kto wśród dworu pisze, czy też wśród klasztoru.

Aleć ta mniej szkodliwa, choć spoina przysada;  
Gorsza się dziś wrzepiła w naszych braci wada,  
Ze jadem ostrzą pióra, w niezbożności moczą

I tym się bardziej chełpią, im bardziej wykroczą.

Odpisują się od nas i nie chcą być społem,  
Co z Bogiem nie wojujem ni z Jego Kościołem;  
Duszę nam chcą upodlić i zrównać do bydła.  
Wielki świecie, podłość to głupia i obrzydła!

Nie daj się zwodzić, nie chcesz z tym się wiązać stadem,  
Którzy wzgardy i śmiechu bywali przykładem;  
Wszak wieprzem Epikura, uczniów – błędną trzodą  
Mędrsi zwali, co dawne świadectwa przywiodą.

Cnotliwe się stoików hartowały serca,  
Gdy ten niewieściuch, cnoty powstawał oszczerca;  
Obyczajność i cnota na tronach usiadła  
Wówczas, gdy się włóczyła ta trzoda wybladła.

Świat plątała i same gnuśne pasibrzuchy  
Zwabiała; mędrzec prawy bywał na to głuchy;  
Władzące światem nie szły za nią pierwsze głowy;  
Niemodny był Epikur wtenczas, choć był nowy.

Powstali nań obstępem Rzymianie i Grecy,  
I choć go przenicował w lepszy kształt Lukrecy,  
Choć go cnotliwy Gassend zrobił chrześcijanem,  
Przecież zawsze Epikur wieprzem tylko znanem.

Dziwna rzecz, że piękniejsze w naszym wieku dusze,  
Choć ich wielbię, Starosto, wyznać z serca muszę,  
Do tej tak podłej przedtem rzuciły się mody,  
Zaschłe już i zawiędłe rozbrechtując smrody.

Rzecz kto: „Znać z tych rymów, że ksiądz burzy

[w stule.”

Prawda, lecz nie w gorącej przecie kanikule,  
A tym na głowę chorym dzieciom Epikura  
Ledwie by nie najlepsza była czarna kura.

Jakby w ciężkiej malignie, tak nam zawsze marzą,  
Choć się im rymy gładkie i dobitne darzą,  
Choć głupców, ziemskich bożków malują obrazy  
I czyste nam szlufują zwierciadła bez skazy.

Przecież politowania godni i litości:  
Nikt im z nas towarzystwa tego nie zazdrości;  
W tym bractwie Epikura, choć samym pozorem,  
Nie rad być, kto zna cnotę i honor przeorem.

Ciąć kłem cnotę, poczciwość, prawdę, religiją;  
Truć niewinnych, pająkiem być tylko i zmijać;  
Nudnych tylko rozkoszy zabawiać się kałem  
I mazać – nie jest to być mądrym i wspaniałem.

Drwić głową zawsze, śmiać się z Boga i Kościoła;  
Lżyć obrządki, świętości, kapłany – bez czoła;  
Samym tylko uporem narabiać i bluźnić,  
Tym jednym charakterem od wszystkich się różnić;

Nie znać zwierzchności, władzy; równość same

[chwalić;

Chcieć Kościół, posłuszeństwo i związek obalić;  
Nowe jakieś bydlęce, bez prawa i rządu,  
Szczepić życie – toż mądrość i prawo bez błędu?!

Wreszcie Nazony, Galie, puste Aretyny,  
Szczep Epikura rozkosz podłości jedyny,

Przeganiani od miasta do miasta włóczęgi –  
Zawsze był i jest na nich pocziwych sąd tęgi.

Lepiej ziemianki pisać i proste sielanki,  
Bez żadnej o niecnocie, niezbożności wzmianki,  
Eneasza wysławiać i wielbić Augusty,  
Niż o głodzie wędrować, cierpieć dla rozpusty.

Ja, choć tych swawolnisiów pisma dziwnie lubię  
I czasem też niechcący z nimi kogoś skubię,  
Przecie z Horacym wolę trzymać się, z Maronem:  
Mniej nieszczęśliwym chcąc być, chcę być mniej  
[uczonem.

Wolę już do nieszczęścia być pół-psy, pół-kozy,  
Niż schwycić to, co schwycił Ciampol Teodozy<sup>8</sup>;  
Wolę siano na rogu nieść<sup>9</sup>, niż dla nałogu  
Epikura być zwanym zwierzęciem bez rogu.

[1776/1777]

---

<sup>8</sup> Ocięty różgami, wygnany z Wenecji za to, że senat i dożę opisał.

<sup>9</sup> Siano na rogu nieść – znaczy; być dzikim, niedouczonym.

ANONIM

DO WĘGIERSKIEGO W WIEŻY

Gdybyś był wierszem pisał, a nie prozą,  
Wyrok szlachecką nie traciłby kożą.

Nie darmo latasz Pegaza zaszczytem,  
Kiedyś aż w wieży utknął swym kopytem.

Góra się z górą nie znajdzie, choć wiekiem,  
Lecz wieża często i z najlepszym człekiem.

Głosząc cię wszędzie sława lotnie bieży,  
Ale sławni ej szym z tej uczyni wieży.

Głos Muz dziewięciu dzisiaj zabrzmiał w chórze:  
„Kto jest na dole, bywa i na górze.”

[Październik 1777]

KASPER ROGALIŃSKI

PO PIERWSZYM PRZEDSTAWIENIU

„PIGMALIONA”

Jeśli chcesz dojść wysokiej parnasowej mety,  
Dawaj Pigmalijolny, lecz nigdy Elżbiety.

[Wnet po 23 listopada 1777]

ANONIM

## NOWY PRZYPADEK W LASKU

W tymże czasie przypadek stał się drugi, właśnie

Kiedyś pisał o lasce jadowite baśnie.

Tokarz, a ów to Tokarz, co dobrze trze oczy,

Nim jaką sztukę na swym warsztacie wytoczy,

Skoro wyrobił laskę kształną i ozdobną,

Postawił ją z niemałym szacunkiem osobno.

Ona z swojej kształtności i gładkiego toku

Niejednemu przypadła do pochwały oku;

Owszem, dla istotnego na laskę pozoru,

Tokarzowi czyniła niemało honoru.

Tokarz laskę swą kochał i wspierając czasem

Na niej swoje ramiona chodził ponad lasem.

Często laską wskazywał na zdatne sosienki:

„Z tej wytoczę półmisek, z tej będą wanienki,

Z tej szachy, z owej puszka; ta zaś, nadto krzywa,

Niegodna, chyba tylko na smolne łuczywa.”

A tak sobie wybierał za pomocą laski

Drzewka różne, co było znakiem pańskiej łaski,

Kiedy raz, powracając do lubego domu,

Pojrzy, aż ów niedźwiadek, co niedawno z łomu

Wzięty, z swego łańcucha zerwawszy się razem,

Biega, pada i lata u szyi z żelazem,

A wolnością napuszon niedźwiedziej natury

Dłabi piękne kokoszki i czubate kury.

Jeszcze się Tokarz dziwi i niechętnie śmieje,

Mając poprawy po nim niechybną nadzieję,

Ale płochy niedźwiadek bacząc, że uchodzi,



Dalej swym jadowitym kłem gryzie i szkodzi,  
A kiedy w nim coraz się pieni humor dziki,  
Począł nawet tokarskie kasać pomocniki.  
Tu Tokarz podjął laskę, a laska roztropna,  
Nie będąc do srogiego kalectwa pochopna,  
Swywolnego niedźwiadka uderzyła mało.  
Słuchajcież, co się dalej w tymże razie stało!  
Oto złośliwy niedźwiedź wnet się obces rzucił,  
Owszem, ku Tokarzowi z swym się kłem obrócił,  
Ale mając poblížej laskę drapać pocznie.  
Zamiast co by miał tańczyć przed swym panem  
[skocznie,

Co częstokroć (nieprawdaż?) dosyć czasem bawi,  
On swą paszczękę srogą natychmiast rozdziawi,  
A ostrymi pazury porywając drzewo  
Rozumiał, że to z lekką do czynienia plewą.  
Tokarz na to zadumiał i, złość wielką widząc,  
Dał znak lasce, a laska, z ostrych zębów szydząc,  
Tak go dobrze urznęła po złośliwym grzbiecie,  
Że się niedźwiadek układał jakby małe dziecię,  
Lecz bacząc, iż się wszędzie śmieją z niego ludzie,  
Poszedł sobie spokojnie i układał się w budzie.  
I już wtedy nie myślał, że pękła na sęku,  
Kiedy na nim nie pękła spod Tokarza ręku.  
Stare to, lecz prawdziwe przysłowie nas uczy:  
„Za spadnieniem gałązki niedźwiedź srogi mruczy,  
Lecz wtedy nie srożeje ani pewnie drapie,  
Gdy weźmie raz, a dobrze, po złośliwej łapie.”

Nie trzeba na pochlebnej zawsze brząkać lirze,  
Wolno poświęcić nieco surowej satyrze,  
Lecz gdy chcesz ujść prawdziwie powszechnej nagany,  
Na sprawiedliwe przestań pisać w kraju pany!

[1777, listopad?]

JÓZEF WYBICKI

DO KAJETANA WĘGIERSKIEGO

[Anonimowo]

Phoebo sua semper apud me munera.

Virgilius

Lubom nie jest wierszopis, wiersz poważam wiele;  
Nie malarz, lecz w szacunku u mnie Rafaele;  
Zawsze wielbię Homera; wiem, że kraj zdziczony  
Miłym jego być może pieniem oswojony;  
Jak złoto ogień czyści, tak wydoskonala  
Obyczaje narodu satyr Juwenala;  
Męstwo i patryjotyzm, zgoła wszystkie cnoty,  
Gdy do nich wiersz zachęcał, kwitły przez wiek złoty –  
Kocham Polskę, a gdyby mieszkał w niej Horacy,  
Ustać by mogła podłość, znikli hajdamacy.

Dość, podobno, Węgierski, masz z tego rysunku,  
W jakim u mnie są wiersze poetów szacunku.  
Ciekawys pewnie, czyli w liczbie cię ich stawiam?  
Bądź pewny: między nimi miejsce ci zamawiam.  
Dawniej tegom nie myślał, lecz wiesz, jak na świecie:  
Jeden powie na wiarę, drugi za nim plecie.  
Płeć piękna, miły dowcip nie są bez zazdrości–  
Ta wada bierze z własnej początek miłości.  
Niegdyś się z róży oset urągał wyniosły,

Ta przecie ludziom miła, a on tuczy osły.  
Daruję ja prywatnym; naród ma nagany,  
Że w nim pisarzów dowcip mało szacowany;  
Wszakże myśląc i pisząc lud się doskonali:  
Niech będzie wolno ganić, choć co kto pochwali.  
Gdy pióro z piórem pójdzie w rozumne zawody,  
Zniknie dzikość, opadną zabobonne brody;  
W twierdzach błędów, zniszczonych dowcipu taranem,  
Na tron się wzniesie prawda, prawo będzie panem,  
A ciemność z rozwiązłością, nie mogąc znieść światła,  
Pójdą tam, gdzie zabobon z nierzędem się tatła.

Może być, mój Węgierski, że wiersz twój ma wady,  
Lecz za to chcieć cię zgubić – ach, cóż to za rady!  
Prosty rolnik zawstydza nas, uczonych ludzi:  
Nie gubi żyznej roli, choć pszenicę zbrudzi;  
Młynkuje ziarno, prawda, lecz rolę wysławia;  
Aby miał czystszy owoc, maści ją i sprawia.  
Twój dowcip wierszopiski jak na śmierć sądzony,  
Bez względu, że obfite mógłby wydać plony  
Ojczyźnie, gdyby znała sposób rozkrzewienia  
Twych przymiotów, szczepionych ręką przyrodzenia.  
Lecz z jakiejż zbrodni ciebie w tym widzę obrazie?  
Podobność wiersz poświęcił satyry urazie.

Horacy, Juwenalu! dobrze, że powieki  
Zamknęliście: nie dla was dzisiejsze są wieki.  
Wzmózone błędy jawnie takie mają prawa,  
Iż zginie, kto im podłych ofiar nie oddawa.  
Kto dumnego junaka śmiałą postać bierze,  
Z walecznym Annibalem w jednej stoi mierze;  
Tego, co chcący mówić ledwie gębą ziewa,  
Trzeba wielbić, że mądrze i że miło śpiewa,

A który ledwo słońca dojrzy blask w południe,  
Temu dowieść ciemnoty byłoby dziś trudnię.  
Katullu! cóż by z tobą w Polsce się nie działo,  
Coś tak w Rzymie z Cezara natrząsał się śmiało,  
Gdzie przecie za swe wiersze też odebrał kary,  
Żeś z Cesarzem wieczerzał, drogie zyskał dary.

Polsko! jakież stąd sobie mam uczynić wnioski,  
Iż rozum błędów błotne zmula ją naniOSki?  
Wewnętrzna chyba radość rozum mieć w nadgrody  
Będzie, gdy jemu milczeć te każą zagrody.

Nic, Węgierski! pod berłem żyjemy Augusta:  
Ty śpiewaj, a me mówić śmiało będą usta.  
Uczmy się – mało jeszcze co Polska uczona –  
Idź w ślady Horacego, a ja Focyjona.  
Nie zważaj na niewdzięczność – po nocy zaświta:  
Gdy ciemny przejrzy, wtenczas wdzięcznie nas przywita.  
Jak mieczem, ścigaj wierszem te kraju narowy,  
Co tępią obyczajność, rażą rozum zdrowy,  
A ja nierządu błędy, swawoli potwory,  
W przyzwoite zapędzę w kraju praw zapory,  
By przecież raz nadbiegły te szczęśliwe czasy,  
Gdzie zuchwalca wstrzymają silne praw zawiasy.  
Rzuć się na dusz przedajność, których kują młoty  
Nam żelazne kajdany, a sobie wiek złoty.  
Już też i nad Gangesem wspaniałe umysły:  
Długoż dzikość osiadać będzie brzegi Wisły?  
Długoż będziem przez nierząd nieczułym tak trupem,  
Sami sobie nieznośni, wszystkich sąsiedztw łupem?  
Możnaż być w osiemnastym wieku w tym przesądzie,  
Że się kraj utrzymuje i stoi w nierządzie?  
Długoż nas mieć w kajdanach będą uprzedzenia,

Że można i kraj przędac dla dobrego mienia?

Ach, te bicze, coś na mnie strugać dodał siły,  
Doznasz, że i tve plecy będą w ciźbie biły,  
A ta swawola, która dzisiaj jest bez kluby,  
Nie pozwoli nam pewnie wnet człeka mieć chluby.  
Tak, jeśli kara niebios będzie to, stolniku,  
Co człeka nie chcesz poznać w kmiotku-niewolniku,  
Każesz mu dźwigać jarzmo, ledwie usta zwierą,  
Sierotą bez własności z nędzy obumiera.

To mówiąc, w jakąż rozpacz nie wpadłem zarazem:  
U nas człek, Boga obraz, bydłęcia obrazem!  
Obyczajność najświętsza w próżne poszła gadki;  
Cnota, dawniej bezcenna, dziś dana na jatki,  
A ten, co mało albo wcale nic nie widzi,  
Z wszystkich najuroczystszych reguł wiary szydzi.  
Tak, bez wiary i zdania, złość wszystko zwycięża;  
Ni księdza, ni sędziego, ni żony, ni męża,  
Ni ojciec znajdzie syna, ani sługa pana:  
Ów na niewdzięczność, ten zaś stęka na tyrana;  
A niegdyś tak szacowne imię patryjoty  
Szukaj teraz w niewoli lub w nędzy pod płoty.  
Podłych dusz łupem wszystko: ni swojej świątnicy,  
Cny Lojolo, nie zbronisz w łupieskiej zdobyczy,  
Niś pewny swej własności, cnotliwy sąsiedzie:  
Kładź krzyż na krzyż, jednak cię zły kaduk osiedzie.  
Wszystek przecie dostatek sam zbytek pożera:  
Szczęściem prędzej jak z głodu Sołłohub umiera.  
To, co ci zje nierządność i rozwiązłość strawi,  
Tegoć i szybka Wisła, młodziku, nie spławi.  
Niejeden z was się pyszni z dawności imienia:

Prawda, bo czy inaczej godzieneś wspomnienia?  
I gdyby twój przodownik nie szlachcic z zasługi,  
Siedziałbyś na warsztacie lub chodził za pługi.  
Junak jesteś, lecz nie masz duszy do oręża;  
Mówisz, lecz swarnej baby, a nie usty męża.  
O czasy! obyczaje! ciężkie do poprawy,  
Gdy w człeku, a nie dojdiesz przecie ludzkiej sprawy.  
I jakże robić z błędów mądrymu igrzysko,  
Kiedy w modzie fircyka błędnego nazwisko!

Niech ciebie to, Węgierski, przecie nie odstręczy,  
Śpiewaj rozum i cnotę, niech błąd w błocie brzęczy!  
Ja ci równie przyrzekam: nie odmienię tonu,  
Bym się żywił wraz z tobą z jednego zagonu.  
Mało natura żąda: dusze zasilajmy,  
W Homerze i Platonie karm dla nich szukajmy,  
A przyjaźń nasza szczerą niech te ma dewizki:  
„Służyć szczerze ojczyźnie – istotne są zyski!”  
Masz prócz mnie przyjaciela; szanuj te przyjaźni,  
Na was dwóch próżno jaki Freron się rozdrażni;  
To prawda, że się wielu dziś dziwi, co czyta,  
Że Trembecki jest mądry, nie eks-jezuityta.  
Wiem, iż tym dźwiękiem mile dotknąłem twe uszy;  
Mam i ja przyjaciela, żywił to mej duszy:  
Prawdziwie mądry, wnet nam trudne prawdy zjawi;  
Poznał ludzi, nad kruszczu walorem się bawi.  
Kto on jest? Kto tak zacny? Dość dla czytelnika:  
Przyjaciół jest Augusta, a niegdyś Ludwika.

[1777, grudzień?]

JÓZEF WYBICKI

NA ODPOWIEDZ WĘGIERSKIEGO

[Anonimowo]

Spotkałem, coś rozesłał po Warszawie pienia,  
By szukały autora dobrego życzenia.  
Dziękuję, dość mi na tej, co świadczysz, ochocie  
Być wdzięcznym wzajemności, przyjacielskiej cności;  
Lecz, proszę, niechaj mi się imię ukryć godzi:  
Mało lubię być znanym, blask mię nie zawodzi.  
Kocham prawdę, tej w ciszy składam serce w darze;  
Ją znaleźć, z nią zamieszkać lubię tylko w parze,  
A gdy ją czczę widocznie, nie przez sposób tajny,  
Ten odpust nie chcę, aby był dla niej przędą jny.  
Nie chcę dzięków, nadgrody, gdyż nie widzę związku,  
By brał żołąd, kto dopełni człeka obowiązku.  
Słabo jeszcze wyraża mych rymów gatunek  
Ten, który mam dla twoich przymiotów szacunek,  
To przecie mi nadzieję czyni i ośmiela,  
Ze nie szukasz poety, ale przyjaciela,  
A tego gdy mi słusznie pozwolisz wyznania,  
Przyjmij, proszę, zarazem wyraz mego zdania.

Uczułem wiersz, śpiewałeś w czarnym trosk zatopię,  
Daruj, nie tak się, widzę, kochasz jak ja w Popie.  
„Wszystko jest dobrze” – mówi; także moja wiara:  
Nie stękam, choć mię tłoczy przykrości mych miara.

Wszystko jest w swym porządku, wszystko w swej

[przyczynie,

Nie potrafisz innego kształtu nadać glinie.

Nie zrobisz, by drapieżnym krew cudza obrzydła,

Gadzinie, co się czołga, nie przyprawisz skrzydła.

Nie będzie kruk łabędziem ani wrona kosem,

Nie zlepi szerszeń plastru, jak pszczołka, naniosem.

Miał osieł niegdyś usty rozmawiać papugi;

Nie doczekasz, by przecie cud był taki drugi.

Z Popa zdaniem, wiem, swego Wolter że nie spoił,

Lecz się za to na niego był Russo uzbroił

I większe dał dowody tej prawdy z swej strony

Jak wiersz, tyle okropny jak gruzy Lizbony.

Wielb stworzeń związek – smutnej, wiem, nie doznasz

[chwili

Mądry się cieszyć będzie, głupi nie rozkwili.

[1777, grudzień]



STANISŁAW TREMBECKI

PSZCZOŁY

I któż by w drukowane nie wierzył gazety?

Te pisały z Ameryki,

Iż się tam liczne pszczołek zlatywały szyki

Na pogrzeb jednej kobiety.

Ja temu łatwo wierzę, i nie bez przyczyny,

A że osobliwym trafem

Miałem szczęście być pszczołek historyjografem,

Powiem wam o nich nowiny.

Między lasem przy łące w kwiateczki obfitej

Mieszkały pszczoły pośród lipowego ula,

Rządząc się na kształt niby Rzeczypospolitej

Pod zwierzchnim władaniem króla.

Wszystko im szło pomyślnie, jak z rąbku wywinał,

I chociaż żyły spokojnie,

Nigdy nie słysząc o wojnie,

Bez godziwej zdobyczy żaden dzień nie minął.

Dla swej i obcej wygody,

Słodki nektar i zapachy

Ściągając pod swoje dachy,

Przedziwne tworzyły miody.

Kiedy zaś te robaczki myślały o rodzie,

Ten zrobił dziecka połówkę,

Ten dodał nóżkę, ten główkę –

Wszystko w miłości i zgodzie.

Taka bowiem społeczność najlepiej się darzy,  
Gdzie się nikt o to nie swarzy.  
Hej! hej! i któraż długo trwa szczęśliwa doba?!<sup>10</sup>  
Przerwała te rozkosze strata i żałoba.  
Posłuchajcież co się stało:  
Jednej się z pszczołek koniecznie ubrdało,  
Ażeby straszyć i szkodzić,  
I nie dopuszczać blisko siebie chodzić,  
A gdy tamtędy kogoś prowadziła droga,  
W kark mu swój sztylecik wbiła.  
I cóż to po tym, gdy zaraz nieboga,  
Skoro swe żądło puściła,  
Zasłabiała i oddała  
Bogu duszę, jaką miała.  
Co gdy fama doniosła w ulową gromadę,  
Wnet król pszczeli, jako głowa,  
Starszych obywatelów wezwawszy na radę,  
Te właśnie potem rzekł słowa:  
„Zatrudniajcie się pracą – będzie mi to miło;  
Róbcie miód – bo wam z tym błogo,  
Lecz nie kłóście nikogo,  
Żeby was to nie zgubiło.”

[1777?]

---

<sup>10</sup> Suspirando.

ANONIM

RESPONS NA LIST  
PISANY DO JMCI KSIĘDZA WĘGIERSKIEGO  
PRZEZ JMCI PANA  
KAJETANA WĘGIERSKIEGO  
SATYRYKA UPRZYWILEJOWANEGO  
WARSZAWSKIEGO

Dnia 30 lipca roku 1778 z Podola

Ni ja ponurym mnichem, ni ja fanatykiem,  
Ni, broń Boże, zaciętym jestem heretykiem;  
Wolnego stanu człowiek, żyję wpośród ludzi,  
Gdzie mnie nie wszystko bawi ani wszystko nudzi.  
Rad obcuję z mądrymi, a kiedy się zdarzy,  
I od głupich nie zawsze usuwam się twarzy.  
Mądry mnie w czym nauczy, z głupich mam przestrogi,  
Abym w równym im błędzie nie posunął nogi,  
Ale nigdy za twymi nie pójde przykłady,  
Bym tylko zawsze ludzkie opisywał wady,  
Był czujnym ostrowidzem na cudze przywary,  
A na swoje nie patrzył, jak tylko przez szpary  
I dlatego, że czasem kto z drogi wyboczy,  
Zaraz nań jadowite krzywiły się oczy.  
Wtenczas będę na innych rozpościerał żale,  
Kiedy każdy mi rzeknie, że jestem bez „ale”,  
Lecz póki kto zarzucić cokolwiek mi zdoła,  
Nigdy nań zmarszczonego nie okażę czoła.

Obyś był zawsze i ty takowego zdania!  
Nigdybyś nie usłyszał przykrego łajania,  
Z jakimi się niejednym teraz słyszeć daje,  
A niektórzy i twarde gotują nahaje.  
Jeśli pragniesz, aby cię zwano literatem,  
Nie przeto płytki rozum masz zasadzać na tem,  
By bez braku na stany, na wszystkich się dąsać,  
Nikomu nie wybaczyć i każdego kąsać,  
Bo z takiego rozumu to weźmiesz w zdobyczy,  
Że cię mądry pogardzi, a głupi oćwiczy.  
Nie ten mądry, kto swoje sam opiewa chwały,  
Lecz kogo za takiego świat uznaje cały,  
I choćbyś sąznistymi to dowodził księgi,  
Ze rozumem, dowcipem, pismy jesteś tęgi,  
Nie przekonasz, upewniam, kiedy kto tak trzyma,  
Ze prócz jadu nic więcej w twoich pismach nie ma,

Nie przeto, że dziecinnych kilka zlepisz wierszy,  
Masz rozumieć, że jesteś w ojczyźnie najpierwszy,  
Ani tak, choćbyś i chciał, będziesz kiedy bystry,  
Żebyś w dziełach i rządach naganiał ministry.

Wiedz i to, że z takiego, jakeś ty, warsztatu,  
Co ostrym piórkiem tykać zwykli Majestatu,  
Z sprawiedliwego sądów Marszałka wyroku  
Biorą czasem nad Wisłą<sup>11</sup> miesięczne po boku.

Uczony obiad niech ci więcej nie zawadza:  
Niegodnego Król nigdy tam z sobą nie sadza,  
Wszak nie na tym nauka i dowcip zależy,

---

<sup>11</sup> Miejsce, w którym z sprawiedliwego sądów wyroku każdego dnia pierwszego miesiąca wyznaczoną liczbą plag ludzi poprawują.

Że kto jak z babilońskiej wygaduje wieży;  
Ten mówi, drugi myśli, trzeci mądrze czyni,  
I tak warci są wszyscy w tej siedzieć świątyni.

Nie bądź na Bielawskiego tak srodze zawzięty,  
Że nie do smaku twego opisał n a t r ę t y<sup>12</sup> –  
Wart zalety, że cudzej nie mordując sławy  
Pisze i dla swej własnej, i innych zabawy –  
A pomnąc, żeś rozumem i laty młodzikiem,  
Nie wyjeżdżaj tak śmiało na harc z twym językiem,  
Abyś miał dzieł uczonych kłęb przegryzać kartę,  
Dając o każdym zdanie, które czego warte.  
Wiele ten słyszeć, widzieć, czytać, pisać musi,  
Kto się cudze na przetak rozumy brać kusi.

Wreszcie to mieć u siebie masz na żywej pieczy,  
Aby ci nikt jakowej nie zarzucił rzeczy:  
Nie ze wszystkim mile byś słuchał tego pono,  
Gdyby ci z nieomylną prawdą to rzezzone,  
Żeś od jednych wzgardzony, od drugich wygnany,  
Od tych już w strachu byłeś, od tamtych wyśmiany<sup>13</sup>,  
I co tydzień inszego musisz szukać placu,  
W miłosiernym pod strychem mieszkając pałacu;  
A stamtąd... wszak to łącno przytrafić się może,  
Że w Nowomiejskiej Bramie osiądziesz, niebożę,  
Albo – co by znaczyło łaski nadto wiele –  
Gdy do jednej z Piekarskim<sup>14</sup> osadzą cię cele.

Lecz jeśli chęć cię bierze piórem dopiąć sławy,

---

<sup>12</sup> Komedie Jmci Pana Bielawskiego pod tytułem Natręty nic nie mają w sobie godnego do naśmiewania się.

<sup>13</sup> Wiadomo każdemu, jakich obelg doznał za swoje uszczypliwe pisma;

niektórych swoich dzieł danym rewersem wypierać się musiał.

<sup>14</sup> Piekarski niejaki, wariat, za obelżywe słowa jednej wyrzeczzone pani od pewnego paua u Bonifratellów osadzony.

Niezwalczonych rycerzów dzielne śpiewaj sprawy:  
Jak gromiąc dumne mężnie na placu pohańce,  
Podali imię Polski w wszystkie świata krańce,  
By każdy ich czytając niezwalczone czyny  
Budził w gnuśnym ospalstwie pogrzebione syny.  
Bądź i ostrym satyrem przez wszystkie sposoby,  
Krzycz na zbrodnie, lecz nigdy nie tykaj osoby.  
Dawaj hołd godny cnotcie skromnymi pochwały,  
Zwijaj wieńce piękności, czcuj serca zapały,  
Dowodź, że wtedy będziem szczęśliwsi w narodzie,  
Gdy zacniem kochać króla i żyć z sobą w zgodzie  
Wtenczas oko łaskawe wiersz twój ściągnie na się  
I godnym będziesz, abyś mieszkał na Parnasie.

[30 lipca 1778]

PSEUDO-BIELAWSKI

WIERSZ NA POETĘ WĘGIERSKIEGO

Lekkomyślny młodziku! napaść twoją hardą  
Raz oddawszy, na resztę patrzałem z pogardą,  
Lecz gdy twoja swawola nie znajduje końca,  
Biorę pióro – i drugich, i siebie obrońca.  
Twój pocisk nie jest tęgi, nie ranią twe razy,  
Więc też nie żółci zdrojem zmażę te urazy,  
Ale raczej, żałując twej młodości zdroźnej,  
Chcę cię z błędów i dumy wyprowadzić próżnej.

Niech biegają pustaki od domu do domu,  
Niech się śmiać dają z siebie, cóż to szkodzi komu?  
Kiedy ich naśladować sądzisz ku potrzebie,  
Cierpimy Perkowskiemu, czemuż i nie ciebie?  
W waszych jednak zapędach strzeżcie pewnej miary,  
Abyście nie ściągnęli nagany i kary:  
Wszak, kiedy przeskrobiecie, tamtego z kościołów,  
A ciebie od szlachetnych wypędzają stołów,  
Cóż dopiero takiemu czyni się stworzeniu,  
Które każdego kąsa w swoim zacieczeniu?  
Wierz mi, przepisuj raczej ustawy i listy,  
Kiedy masz i zapłatę, i godność kopisty;  
Kradnij fraszki z Woltera i z nim potem w parze  
Łącz się, jak z Rafaelem sokalscy malarze,  
A jeśli jeszcze nad to zbywają ci chwile,  
Obróć je lepiej na sen niżli na paszkwile.  
Lecz zawiść spać nie daje: chcąc się ku nam zbliżyć,

Wywyższyć się niezdolny, chcesz drugich poniżyć.

Mnie tylko lekkich piosnek mienisz być autorem,  
To świadczy, że się nie znasz dobrze z moim

[piórem:

Wiedzą od mórz bałtyckich ku śnieżystej Tatrze,  
Żem pierwszy Muzy wskrzesił na polskim teatrze,  
Gdzie przepisanej wieszczom trzymając się drogi,  
Przepuściwszy osobom, wyśmiałem nałogi.  
Którego wielkość duszy Polska uwielbiała,  
Rysowałem Podolan portret Generała,  
I to mi chcąc przyganić, niech się zazdrość sili,  
Kto ten portret obaczy, nikt się nie omyli.  
Podalem potomności Izabeli cnoty,  
Malowałem jej wdzięki, jej słodkie przymioty,  
I choćby w rzeczy były z mych wierszy kaleki,  
Imię to nieśmiertelne da im żyć na wieki.  
Pisałem i piosneczkę i, co kładą pęta,  
Wzięły winny ode mnie hołd piękne oczęta.  
Z wielu innych wierszyków ciągnąc mą zabawę,  
Nigdy nie przecie na cudzą nie targnął się sławę.  
I komuż moje kiedy złorzeczyły usta?  
Chyba nocy okropnej i zbójcom Augusta.

A ty, bracie, co do mnie mówisz z tak wysoka,  
Któreż twe pismo mego sąd wytrzyma oka?  
Wielka rzecz, żeś tłumaczył prozą Marmontela,  
Ta się znikoma praca i żaczkom udziela.  
Wiemy oraz, iż twoja Muza znamienita  
Pisała też i wiersze, których nikt nie czyta.  
Wart Achill być podany wiekom przez Homera,  
Wart i Homer takiego śpiewać bohatera.  
Obydwa siebie godni, obydwaj wieczyści:



Tyś organistów godzien, ciebie – organiści.

Ale opiewaj sobie kantory i dziaki,  
Dla nich właśnie przystoi dowcip i styl taki,  
A nas zostaw w pokoju, bo się ciebie tyka  
Powieść o wężu, który chciał ugryźć pilnika.  
Jeżeli w kim postrzeżesz dar umysłu rzadki,  
Nie szarp go, niech cię mędrszym uczynią przypadki:  
Gdyś na Doświadczyńskiego nie skąpił potwarzy,  
Ledwie żeś cudzej ręki na twej nie miał twarzy.  
Niech i naszych ministrów jędza twoja wściekła  
Nie wysyła do Czyścica, Otchłani i Piekła.  
Literat cię poskromi piórem, ale możni  
Będą w obraniu kary może trochę różni,  
A żałowałbym bardzo, gdyby się poecie  
Lżącemu zacnych mężów dostało po grzbiecie.

[Jesień 1778]

## STANISŁAW KOSTKA POTOCKI

### MOJE PIERWSZE W ŻYCIU WIERSZE

Zalani jesteśmy, że tak powiem, potopem złych wierszy, który, chociaż nie jest tak niebezpieczny jak za czasów Deukaliona lub Noego, niemniej jednak jest nudny; schronić się przed nim niepodobna, ile w kraju tak płaskim, a jak na nieszczęście arka Noego w tęczę odmieniła się. Lubom daleki od stolicy, i mnie ta powszechna chwyciła mania; cóż czynić, kiedy korespondent mój, któremu płacę 12 dukatów na rok, żeby mi gabinetowe nowiny donosił, wirszykami kwituje mnie. Szalenie mi to głowę zawraca i chciałbym za protekcją WWCPana, jako zacnego poety i szambelana, być na Parnasie warszawskim prezentowanym. Przyłączam tu próbkę mego talentu:

Bez żadnej chluby przyznać ci się muszę,  
Węgierski, żebym chętnie dał mą duszę,  
Gdyby mi choć raz przez ciąg życia cały  
Jakie wierszyki dobrze się udały.  
Lecz nadaremne są moje żądania,  
Próżne zachody, prace i starania,  
Papier i pióra darmo tylko psuję –  
Nic mi się dotąd dobrego nie snuje.  
Dość jednak myślę, piszę i pracuję,  
Cóż, kiedy twarde tylko wirsze kuję!  
Sens zawity. Gdy czytam strachem zdjęty,  
Mniemam, że jest wśród pijarów zamknięty.  
Czcili ci niegdyś bóstwo, co nam wina  
Daje, nie pomnąc, by mieć Apollina  
Przyjaznym, który w słusznym wyrzekł gniewie:  
„Niech odtąd wirsze piszą niegodziwie!”  
Darmo mu palę stokrotne ofiary,

Gardzi statecznie niewczesnymi dary.  
Szczęsny Węgierski, od Muz ulubiony,  
Co tak wdzięczne z twej lutni ciągniesz tony,  
Który – nienudnie czuły lub surowy –  
Bawiąc uczysz, co rozum każe zdrowy!  
Jeślić kiedy młody wiek twój uniósł nad zamiar...

Dosyć tego na próbkę. Łatwo by mi sto wierszy twymi napęlić pochwałami, gdybym się nie obawiał słusznie, ażeby ci nie było tak miło czytać je, jak mnie pisać. Pozwól tedy, bym dobrą prozą resztę myśli mojej wynurzył, nim kadencje powynajduję. Z gminu wierszopisów, których imiona, pamięci niewarte, w słusznym giną zapomnieniu, bez pochlebstwa Węgieńskich, Krasickich, Trembeckich i Szymanowskich wyłączone być powinny; zdaje się, iż cały geniusz polski w nich jest włany z uszczerbkiem innych, ale nie z małym zaszczytem dla narodu, który chełpić się może, że posiada poetów, którym równych ledwie zdołałyby okazać inne narody.

Gdyby was Grecja miała lub brzegi Sekwany,  
Dawno byłby wasz geniusz świata dobrze znany,  
Słusznie obok Voltaire'a albo Horacego  
Mieściłoby się sławne imię Węgierskiego,  
Dzieła zaś wasze wiecznej podane pamięci  
Uszłyby skazy czasu i Zoilów niechęci.

Już sama fatalność położenia Polski, która tylu dobrych obywateli chęci i usiłowania o dobro publiczne próżnymi czyni, nie pozwala nam więcej w poezji figurować jak w polityce. Nadto szczupłym i nieznanym jest dla was literatura polska polem. Mało kto was cenić umie. W złych wierszów nawałnicy schronienia często przy was szukałem i miłem z wami pędził mementa, za które to wdzięcznym, a raczej słusznym okazać się usiłowałem.

[1779]